

Włodzimierz Żukowski

**Komisarz
O'Mlett
i czwarty
wymiar**

Warszawa 2004

Wszystkie nazwiska, nazwy miejscowości i wydarzenia przedstawione w tej książce są przypadkowe i mają związek z rzeczywistością tylko o tyle, o ile rzeczywistość zechce się z nimi utożsamić.

Ciało znalazła sprzątaczką, gdy przyszła rano omieść z grubszą gabinet. Dyrektor siedział odchylony w swoim fotelu z twarzą wyrażającą kompletną obojętność, co nie licowało z jego zaangażowaniem i serdeczną troską o słuszny kierunek rozwoju kraju. Z prawej strony szyi ziała rana z poszarpanymi brzegami, a kołnierzyk i prawy rękaw marynarki zalany był szernią już krwią.

Sprzątaczką wrzasnęła i rąbnęła tyłkiem w oszkloną szafkę, po czym wybiegła na korytarz, wlokąc za sobą kabel od odkurzacza. Strażnik siedzący piętro niżej, usłyszawszy krzyk obrócił się tylko w kręconym fotelu i rzekł do kolegi, który właśnie przyszedł zmienić go na służbie:

- Pewnie znowu szczur! A mówiłem, żeby kota nająć na etat!
- Koty cholery śmierdom! – odrzekł kolega, wyjmując z teczki drugie śniadanie.
- To lepsze szczury?

– Mnie tam wszystko jeden czort, ten szczur czy tamten, ten prezydent czy tamten! – sentencjonalnie stwierdził kolega.

Owocnie rozwijającą się dyskusję, która właśnie zaczęła przyjmować zabarwienie polityczne, brutalnie przerwała sprzątaczką, która zbiegła po schodach, a za nią z łomotem stoczył się wielki odkurzacz.

– Kwasignata zabili! – zaryczała, wymachując zieloną ścierką w kratkę.

– Pani Zosiu, co pani?

– Zabili go, sukinsyny! Siedzi u siebie taki przegięty! Ja tam nie wejdem, choćby mię kroili!

– Może go tylko zemdliło?

– Gdzie tam zemdliło! Dziurę ma w szyi!

Nocny strażnik zerwał się z fotela i pobiegł na górę, po chwili wrócił z zieloną twarzą i kwadratowymi oczami.

– No i co? – zapytał zmiennik.

– O rany!

Nowo przybyły odczekał dziesięć sekund, a później powiedział z troską:

– Ale będziesz miał pasztet. – Po następnych dziesięciu sekundach podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer mieszkania prezesa, pana Eustachego Bowryja.

Policja przyjechała po pół godzinie. Przez ten czas pojawiło się już kilkunastu pracowników i każdy z nich oddzielnie był szczegółowo informowany przez panią Zosię o makabrycznym znalezisku oraz towarzyszących mu faktach i przecuciach. Pani Zosia już w nocy nie mogła bowiem spać z powodu okropnego boja pod sercem, a nad ranem śniły się jej same zęby, dwie śnięte ryby i czarny kot. Niektóre z pań, obeznane z sennikiem, ze zrozumieniem kiwały głowami, panowie wzruszali ramionami, a młoda sekretarka, Beata powiedziała rzeczowo – co też pani pieprzy – czym naraziła się na serdeczną niechęć pani Zosi.

Policja przybyła w czterech osobach, z których trzy posługiwały się językiem polskim w sposób w miarę zrozumiały, natomiast czwarta objawiała niejaki braki w tym zakresie. Był to wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna w cywilnym ubraniu, który zaraz na wstępie zaszokował obecnych zwrotem wręcz nie spotykanym wśród osób mających jakąkolwiek władzę:

– Dzeń topry panstfu!

Zszokowani zebrani odmruknęli coś nieokreślonego, tylko pan Jacek wznosił dwa palce i powiedział z mocą:

– Precz z komuną!

– A laszego? – zainteresował się wysoki policjant.

Obecni zbaranieli jeszcze bardziej, a poruszony do głębi pan Jacek uznał za właściwe zaprotestować przeciw tak jawnemu pogwałceniu najświętszych wartości i zareplikował gorąco:

– Pan to pewno ze starej zomowskiej ekipy, pobieżnie zweryfikowany, że się pan tak głupio pyta!

– I mówi tak jakoś, pewnie Ruski – dodała pani Zosia teatralnym szeptem.

– Laszego Rusky? – zainteresowanie policjanta wyraźnie wzrosło.

– O mon Dieu, co tu jest grane? – cicho spytała pani magister Anna Kalika-Dopieszcz, która w chwilach wzruszenia miała zwyczaj wyrażać się obcojęzycznie. Inni milczeli, usiłując w wymianie zdań dociec jakichś niezwykle ważnych podtekstów.

Ekipa przystąpiła do działania, zamknięto korytarz prowadzący do gabinetu ofiary, a wysoki policjant zabrał się do wstępnych przesłuchań. Był w Polsce od trzech miesięcy i prowadził tu już jedną poważną sprawę związaną ze zniknięciem niejakiego Ciurbola, więc przypomniał sobie nieco znajomy z dzieciństwa język, ale nie zdołał w pełni pojąć panujących tu stosunków. Nazywał się Egg O'Mlett i był policjantem z Chicago, synem polskiego emigranta, a wysłano go tutaj w ramach wymiany doświadczeń. Rzeczywiście nazywał się kiedyś Eugeniusz Jajszczyk, ale nazwisko to zmienił,

wstępując do policji, aby uniknąć zabawnych nieporozumień, nikt bowiem z kolegów nie był w stanie go wymówić.

Usiadł teraz w skórzanym fotelu za biurkiem, w pokoju, który na czas przesłuchań przydzielił mu zdruzgotany nieszczęściem prezes i zabrał się do żmudnego dociekania prawdy.

Pierwszą osobą, którą mu sprowadzono, była sprzątaczką, pani Zofia Pogrzebacznik, lat czterdzieści siedem, zamężna, pracownica firmy „Nowa czystość”, której zlecono w ramach umowy o dzieło utrzymywanie porządku w gmachu.

Pani Zofia wszedłszy do pokoju przeżegnała się trzy razy ruchem przypominającym stukanie się zgiętymi palcami w okolicę serca i usiadła na miejscu wskazanym jej przez komisarza. Ten patrzył na nią przez chwilę z zainteresowaniem, co ona z kolei uznała za przeszywające spojrzenie zatwardziałego enkawudzisty. Sierżant Charuj, który siedział obok, gapił się w ścianę wzrokiem idealnie obojętnym.

– Nalazła zwłoka pani? – poważnie spytał komisarz po chwili milczenia.

– Że co proszę?

– Pani piersi zwłoka zobaczała? – spokojnie powtórzył O'Mlett.

Pani Zofia spojrzała z przerażeniem na swój wydatny biust obleczoney przeraźliwie niebiesciutkim fartuchem, wybałuszyła oczy,

przeżegnała się jeszcze raz i zacisnęła usta, wyrażając tym pogląd, że wypowiedzenie każdego słowa uważa za wybitnie niebezpieczne. Komisarz westchnął i spojrzął na sierżanta Charuja. Ten zrozumiał spojrzenie, wstał bowiem z krzesła, na którym siedział, stanął przed panią Zofią i powiedział:

– Pan komisarz chce wiedzieć, czy pani pierwsza znalazła zwłoki.

– A bo ja wiem? Ja tam nic nie wiem!

– Ale to pani powiadomiła strażnika, że w gabinecie jest trup?

– A co miałam robić? Przecie nie będę zamiatać, jak on tam siedzi, żeby mnie po nocach straszył? Co pan? Ja od razu wiedziałam, że będzie nieszczęście, jak mi trzy kruki na ulicy drogę przeszli! Jak miał być stan wojenny, to też mi kruki się pokazali i co? I sam pan wiesz, co było!

– W Polsce nie ma już chyba ani jednego kruka. To, co pani widziała, to gawrony – z uśmiechem odparł sierżant. – No dobrze, a drzwi to były zamknięte czy otwarte?

– Pewnie, że zamknięte!

– I jak je pani otworzyła?

– Normalnie, rękami! Co to ja jestem Beatka, co tyłkiem drzwi otwiera jak kawę przynosi?

– A więc otworzyła je pani, weszła i co?

– A co miało być? Jak go tylko zobaczyłam to krzykłam i się całam. A pan by nie krzyknął?

– No dobrze. A drzwi to były zamknięte na klucz czy tylko na klamkę?

– Pewnie, że na klamkę! Jak by byli zamknięte na klucz to bym nie otworzyła, bo klucz jeszcze w zeszłym roku zginął, jak Beatka tamój imeniny robiła z tem panem Jackiem! Ja tam nic nie wiem, ale od takich imeninów to potem obraza boska, no i klucza nie można znaleźć!

– No dobrze. Może pani iść, ale z budynku proszę nie wychodzić – zakończył sierżant.

Następnym gościem w pokoju przesłuchań była sekretarka. Pani Beatka była osobką fertyczną, lat dwudziestu trzech, zasadniczo składającą się z nóg uwieńczonych od góry blond fryzurą przypominającą kądziel niechlujnej prządki-wariatki. Weszła trzepocząc powiekami, usiadła i poślą komisarzowi spojrzenie rozanielonej kobry.

– Pani nazwisko? – spytał sierżant.

– Beata.

– Pytałem o nazwisko.

– Beata Papuś – odrzekła obrażonym tonem.

– Jaką funkcję pani tu pełni?

– Jestem asystentką.

– Czyli sekretarką?

– Nieee! Sekretariat prowadzi pani magister Kalika, a ja jestem **asystentką** – z mocą podkreśliła osóbką.

– To znaczy, że co pani tu robi?

– Nooo, jeżdżę z Eusta... to znaczy z panem prezesem tu i tam, na konferencje, spotkania różne no i w ogóle...

W tym miejscu komisarz, który dotychczas przysłuchiwał się niemo, postanowił wtrącić się i zadać pytanie:

– A z pan dyrektor Kwaszygnat tyż?

– Neeee, pan prezes nie życzył sobie...

– W Juesej asistent je best menedżer, on dużo wi, on czensie cały byznes, on ukonczy Haruard or Jejl na dużo fakultety! A tu?

Charuj mimo całej powagi sytuacji parsknął śmiechem i odwrócił twarz, ale zamilkł zerknąwszy kątem oka na oblicze pani Beatki, które wyrażało bezbrzeżną pogardę dla tak przyziemnego pojmowania roli asystentki w nowo kapitalistycznej instytucji. Patrzyła na nich wzrokiem ciężko rozjuszonej harpii, która z zimnym okrucieństwem poszukuje najboleśniejszego miejsca dla swoich pazurów.

– Phy!

– Co pani robiła wczoraj wieczorem? – spytał sierżant.

– Przed ósmą rano wróciliśmy z Paryża. Wczoraj wieczorem oglądałam wieżę Eiffla.

– No to chwilowo dziękujemy pani.

Obrażona harpia wyszła, a wszedł następny delikwent. Zaraz w progu złożył ręce na piersi i zaanonsował bez wstępu:

– Jacek Maria Burek.

– Dzień dobry panu – powiedział Charuj – na jakim stanowisku pan tu pracuje?

– Jestem kierownikiem.

– Jakiegoś działu?

– No, można tak powiedzieć. Należy do mnie kwestia informacji.

– Ooo, to bardzo szerokie zagadnienie. A ilu pracowników panu podlega?

– To trudno powiedzieć, w zasadzie działam zależnie od potrzeb, jako komórka jednoosobowa.

– Wspaniale, czyli jest pan sobie sam sterem, żeglarzem, okrętem...

– Pan mnie obraża, nie o taką Polskę walczyłem, aby jakiś post-komunista... ja protestuję, pańskie pytania nie mają związku ze sprawą!

– A ile pan ma lat?

– Dwadzieścia sześć, ale co to ma do rzeczy?

– A to, że w 1980 roku miał pan jedenaście, więc nie bardzo rozumiem, kiedy pan o tę inną Polskę walczył? Ale wróćmy do sprawy. Co pan robił wczoraj wieczorem?

– O siódmej byłem na mszy, a później poszedłem do domu, z którego nie wychodziłem aż do rana.

– Zapewne dobrze pan znał dyrektora Kwassignata?

– Nie byliśmy zaprzyjaźnieni.

– A można wiedzieć, z kim pan był zaprzyjaźniony, poza panią Papuś oczywiście?

– Co mi tu pan imputuje!... – pan Burek szczerwieniwał i zacisnął pięści.

– Nic panu nie imputuję. A więc z panią Papuś też nie jest pan zaprzyjaźniony?

– Ależ! To moja cioteczna siostra! – wściekle warknął pan Burek podrywając się z krzesła.

Komisarz O'Mlett popatrzył na niego przeciągle:

– Czoteczna syster co znaczy?

– Córka siostry matki – beznamiętnie odpowiedział sierżant.

– Aha. Znaczy famyly?

– Nie da się ukryć.

– A pansky matka jaka nejm... znaczi nazwisek?

– Burek, oczywiście! – prychnął pan Jacek wzgardliwie.

– A z domu? – spytał Charuj.

– Z domu Bowryj.

– Czy podejrzewa pan kogoś może o dokonanie mordu na osobie dyrektora Kwasignata? Czy miał on tu jakichś wrogów?

– Kto go zabił? Wiadomo każdemu kto! Oni!

– A dokładniej kto?

Pan Jacek zdenerwował się i zamachał rękami. – Panie – warknął – każdy uczciwy człowiek w tym kraju wie, kto jest zdolny do takich czynów! Oczywiście, że personalnie mordercy panu nie wskażę, ale fakt świadczy sam za siebie! Oni teraz będą chcieli sprawę zatuszować, pewnie już panu dali odpowiednie instrukcje!

Sierżant Charuj popatrzył z półuśmiechem na rozindyczonego pana Jacka.

– Tymczasem dziękujemy panu, proszę nie opuszczać budynku.

– Co som ony? – zapytał O’Mlett, gdy pan Jacek zamknął za sobą drzwi z tamtej strony.

– Oni, to wszyscy, którzy nie podzielają poglądów tego faceta, w tym również my obaj. Zresztą pojęcie „oni” zmienia się zależnie od wydarzeń politycznych, raz to są ci, a raz inni. Oni to samo zło, a my to wcielone dobro. Skojarzyłeś, komisarzu?

– Kolera, psza macz!

– Właśnie. Wspaniale to ująłeś.

Drzwi otworzyły się i weszła istota płci żeńskiej w wieku nijkim i o takimż wyglądzie zewnętrznym. Na głowie miała jakieś włosy, a z twarzy przypominała wychudzonego chomika. Usiadła na wskazanym jej krześle i zaplotła ręce na torebce trzymanej na kolanach. Przygarbiła się, skurczyła i całą postacią za wszelką cenę usiłowała przekonać otoczenie, że jej tu w ogóle nie ma.

– Pani godność? – z lekkim ukłonem zapytał Charuj.

– Anna Kalika-Dopieszcz – ledwie słyszalnie wyszemrała istota i wessała się jeszcze bardziej w siebie.

– Na jakim stanowisku pani tu pracuje?

– Prowadzę kancelarię i sekretariat.

– Jeden dla wszystkich?

– Nie. Pan prezes Bowryj ma osobistą sekretarkę, panią Beatkę.

O'Mlett z Charujem spojrzeli na siebie przelotnie, a komisarz oparł się plecami o skórzaną poduszkę fotela i zapytał wskazując palcem na ścianę, za którą znajdował się hall:

– Pany Papusz je aśсистен ci sekretarka?

Istota wyciągnęła szyję z ramion na całą długość, po czym wepchnęła ją z powrotem. – Nooo, jest na etacie asystenta...

– Ale co robysz?

Szary twór płci żeńskiej schował szyję do tego stopnia, że chudy podbródek oparł na kościstym mostku, a oczy gorączkowo poszukiwały jakiejś dziury, w którą dałoby się wejść:

– Nooo, w zasadzie... to może już pan prezes osobiście, bo ja nie jestem wprowadzona.

– Pani wykształcenie? – spytał Charuj.

– Mam ukończoną romanistykę i prawo. Poza tym studiowałam filozofię.

– I po tym wszystkim prowadzi pani sekretariat – stwierdził sierżant z westchnieniem – a do tego pewnie podlega pani służbowo asystentowi prezesa?

Istota nie odpowiedziała, tylko bezgłośnie skinęła głową.

– Fajn – powiedział O'Mlett i roześmiał się na całe gardło – tylko czy fakultet do sekreteriat? Ooo! Myster Bowryj pewnje muszy ma pęć!

Pani Kalika-Dopieszcz skurczyła się tak, że prawie przyjęła pozycję embrionalną wokół torebki.

– Dobrze – powiedział Charuj – porozmawiajmy może teraz o panu dyrektorze Kwasignacie. Znała go pani zapewne dobrze, skoro prowadziła pani sekretariat. Jaki to był człowiek?

– Z wykształcenia podobno polityk praktyk. Lat miał coś pod czterdziestkę, przyszedł do nas cztery lata temu i od razu na to stanowisko. A człowiek? Nooo, dyrektor jak dyrektor!

- Miał tu jakichś wrogów?
- Tu nikt nie ma przyjaciół...
- Był żonaty?
- Rozwiedziony, zdaje się.
- Co pani robiła wczoraj wieczorem?

Szara istota raptem zrobiła się pąsowa, przy czym widać było, jak ta czerwień pełnie po niej od dołu. Gdy osiągnęła granicę włosów, wyszeptwała:

- Byłam u przyjaciela...
- W porządku – powiedział sierżant prawie serdecznie – czy on będzie mógł to poświadczyć w razie potrzeby?
- Tak.
- No to dziękujemy pani. Proszę nie wychodzić z biura.

Twór kobietopodobny bezszmerowo zniknął za drzwiami i ukazał się w nich umundurowany strażnik. Wyciągnął ręce wzdłuż przeraźliwie krzywych nóg, co dodatkowo jeszcze, poprzez kontrast, uwypukliło tę krzywiznę, a w jego mniemaniu miało oznaczać stanięcie na bacność.

- Nazwisko! – po wojskowemu wyszczekał Charuj.
- Krzyszczyżel Jan!
- Stanowisko?
- Starszy strażnik straży prezesowskiej!

Po usłyszeniu nazwiska oczy O'Mletta stały się okrągłe. Teraz skwadratowały. Usiłował powtórzyć to nazwisko, ale po kilku nieudanych próbach zrezygnował. Starszy strażnik patrzył na niego z oddaniem i napięciem wyrażającym gotowość wykonania nawet najbardziej potwornego rozkazu. W jego wybałuszonych oczach ropuchy cierpiącej na astmę czaił się niepokój i rozpaczliwa chęć zaskarżenia sobie łask tych dwóch facetów siedzących za biurkiem.

– Od kiedy miał pan służbę?

– Od dwadziestej do dwadziestej czwartej i od dwadziestej czwartej czwartej do ósmej – wyrecytowała wybałuszona służbistość.

– A między północą i pół do pierwszej co pan robił? Nie miał pan służby?

– Konsomowałem kolacje!

– Dyrektor Kwasięgnat o której przyszedł?

Strażnik dalej stojąc na baczność pochylił się do przodu tak, że omal się nie przewrócił:

– Nie wiem, jak rany! Jak przyszedłem, to już był!

– Widział go pan?

– Jak robiłem obchód to wszedłem do sekretariatu i widzę, że siedzi, to powiedziałem dobry wieczór i poszedłem!

- Odpowiedział panu?
 - Skąd! Jeszcze trzeba żeby mi derektor na dobry wieczór odpowiadał! – wypalił strażnik z oburzeniem.
 - To skąd pan wie, że żył?
 - Telewizor chodził!
 - A dyrektor się poruszył jak pan zajrzał?
 - A w jakim celu miał sie ruszyć? Co to ja prezes jezdem, żeby się ruszał?
 - A później nie zachodził pan do gabinetu? No, powiedzmy, w nocy, jak dyrektor nie poszedł do domu?
 - A po co? Światło się paliło, to znaczy że był!
 - Dobrze, może pan iść i proszę nam tu przysłać panią Pogrzebacznik – zakończył Charuj.
 - Zosie? Ta jest!
- Po trzydziestu sekundach pojawiła się sprzątaczką.
- Panowie co uważają? – spytała agresywnie.
 - Jak pani weszła sprzątać do gabinetu, to światło paliło się?
 - A bo ja wiem? Przecie widno było!
 - A telewizor grał?
 - A bo ja wiem? Jakiem go zobaczyła, to nie miałam życzenia rozglądać się za telewizorem, o mała na serce nie padłam! Co

panowie takie Nielitościwe? A to światło, a to telewizor, a to to, a to tamto, a mię jeszcze w dołku ściska jak wspomnę!

– Dobra. Może pani iść.

– To mogie iść do domu?

– Nie! Proszę nie wychodzić z biura! Zrozumiała pani?

– To długo tu bede kiblować?

– Ile będzie trzeba!

Ekipa przekopywała gabinet. Zdejmowano odciski z czego się tylko dało, podnoszono z podłogi każdy spinacz, a lekarz stał i patrzył podejrzliwie na ranę ziejącą z szyi dyrektora Kwasignata. Kiedy O'Mlett wszedł ostrożnie, by nie popsuć śladów, to lekarz popatrzył na niego okrągłymi oczami i z lekka wzruszył ramionami:

– Cholera by to wzięła, niewiele z tego rozumiem!

– Należli wy cosz?

Sierżant z ekipy podsunął mu pod nos foliową torebkę:

– To. Leżała pod prawą ręką pod fotelem.

O'Mlett uważnie przyjrzał się przedmiotowi w torebce. Była to sztuczna szczęka z zębami przeraźliwie białymi jak klawisze fortepianu. Na siekaczach zakrzepła krew.

Lekarz, który obserwowwał komisarza podczas oglądania znalezi-ska, odezwał się teraz z nadzieją w głosie:

– Kapujesz coś z tego, człowieku?

- A pasuje do gemba tego tu?
- Nie wiem, dopiero na sekcji się dowiem, jak zdejną odciski, określą grupę itepe. Teraz zamazałbym ślady.
- On nie stary goszcz, žembi jake ma? Znaczi džewsz?
- Na oko paru mu brakuje.
- A morda kiedy?
- Czyja morda? Jego? I co kiedy?
- Noo, kiedy robili morda, o yaki čas?
- Aha! Czas zgonu?
- Yes. Kiedy zgonił ten tu?

Sierżant ze szczęką w torebce parsknął krótkim śmiechem, a lekarz też uśmiechnął się półgębkiem:

- Ze stężenia wynika, że tak druga, trzecia w nocy. No, może ewentualnie czwarta, ale nie później. Mogę go kazać zabrać?
- Możesz, doktor. Zwłoka prosie aut.

Gdy wyniesiono dostojne resztki dyrektora Kwassignata w czarnym worku i na korytarzu umilkły ochy i achy licznie zebranych pracowników, O'Mlett poprosił panią Beatkę, aby pan prezes przyszedł do niego na rozmowę. Czas oczekiwania na wizytę prezesa przedłużał się, wobec czego komisarz z sierżantem zabrali się do sporządzania bilansu uzyskanych informacji. Ledwie spisali je w jakimś logicznym porządku, gdy pojawiła się pani Beatka:

– No i co panowie? Prezes czeka!

O'Mlett popatrzył na nią z niejakim zdziwieniem, ale Charuj nie wytrzymał:

– Prosiłiśmy, aby do nas łaskawie przyszedł!

– Pan prezes do was? Ależ, panowie! Nie ta ranga! To jest szarżowanie godności instytucji! Phy! – tu pani Papuś odwróciła się na pięcie i kołysząc biodrami odeszła w dal nie zamykając za sobą drzwi. Charuj poderwał się z krzesła, ale komisarz położył mu rękę na ramieniu:

– Gud, fpożontku! Ya ydem do ten prezes, nie bedem śargać, a ty szedzi tu i czeka. Myster prezes duzi s...s...

– Sukinsyn? – podsunął Charuj.

– Och, no! Duzi s... no, elefant, o, słon! Yes, słon w porselana magazin.

– Przydałoby mu się ze dwa razy w trąbę od Majka Tajsona – mruknął sierżant, a komisarz uśmiechnął się promiennie!

– No problem! Ya gorsi od Majk Tajson!

Pan prezes lat miał czterdzieści parę, był wysokim, postawnym mężczyzną z pełnym owłosieniem, odziany był gustownie w granatowy dwurzędowy garnitur, koszulę w podłużne prążki i krawat w poprzeczne. Każdy ruch i słowo pana prezesa znamionowało jego niczym niezakłóconą dostojność i pełne panowanie nad całą

resztą świata. Gdy O'Mlett wszedł, pan prezes z lekka pociągnął nosem i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki idealnie złożoną chustkę, którą musnął usta i pociągnął nosem jeszcze raz. Wyciągnął w kierunku komisarza łapę jak łopata, ale ledwie O'Mlett jej dotknął, to cofnął ją natychmiast.

Oczywiście nic nie wiedział, bo go nie było w Polsce, a poza tym interesowały go wydarzenia strategiczne, a nie takie tam duperele, czemu niedwuznacznie dał wyraz:

– Tak, tak, oczywiście tragedia i niepowetowana strata, ale życie toczy się dalej! Panowie już tam sami dojdziecie co trzeba, proszę mnie informować przez asystentkę, gdyby coś...

Mówiąc to cały czas trzymał w dłoni telefon komórkowy i widać było, że komisarz wyraźnie mu przeszkadza w natychmiastowym jego użyciu.

– Pan prezes, widzę, duży problem – powiedział O'Mlett patrząc w jego rozbiegane oczka.

– No cóż, polityka. Mamy nowego prezydenta, jak pan zapewne wie, postk... postawnego człowieka – poprawił się szybko.

– Macze tu demokracja!

– No cóż, przypadkowi ludzie decydują, społeczeństwo jeszcze nie wszędzie dorosło... na przykład w takich Stanach...

– Żeby my byli w Stany, w Juesej znaczy, pan prezes już może nie szedzi tu, a na powrót w swoya kantry, znaczy ferma – brutalnie choć z uśmiechem przerwał O’Mlett – nowa prezydent, to nowa tim! Ja rozume pana problem – dodał z ciepłem w głosie.

Prezes zeszywniał.

Wracając z wyłożonego marmurami i afrykańskim drewnem gabinetu prezesa O’Mlett zajrzał jeszcze do gabinetu dyrektora, w którym buszowała ekipa. Telewizor chodził, a komisarza poinformowano, że nikt nie dotykał aparatu.

– Wery gud – O’Mlett pochwalił współpracowników i powrócił do pokoju, w którym czekał na niego Charuj.

– No i co? – zapytał.

– U pan prezes czensom sie portky – podsumował komisarz.

– Nie nasz problem. a o tym Kwasignacie coś wie?

– Ne wi, ale teleaparat cała nocz chodzi! Jaka program?

– Normalka. Od dwudziestej same wybory. Warto by było coś wiedzieć więczej o przeszłości tego denata. Kazałem, żeby przyszedł tu szef kadr z teczką personalną, ale coś go długo nie ma.

– Fajn – O’Mlett klepnął współpracownika po ramieniu – ale ty czytacz!

– Dobra, ja! – potwierdził sierżant z uśmiechem wiedząc, że komisarz słabo kojarzy co bardziej urzędowe zwroty w dokumen-

tach, takie jak na przykład „przynależność organizacyjna” albo „wyszczególnienie tożsamości” i związa mu to język w trąbkę.

Szefową kadr była pani Aurelia Paszczalwiak i pojawiła się w ich pokoju po pół godziny. Zapytana o teczkę personalną dyrektora Kwasignata poinformowała policjantów, że minęły czasy magazynowania papierów i dane przechowywane są w komputerze. Poproszona o wyciągnięcie ich z pamięci i wrzucenie na drukarkę, oświadczyła, że nie może tego zrobić, bo pani Marzence zachorowało dziecko. Gdy na wieść o tym O'Mlett wykazał niejakię zdziwienie tak nietypowym zespołem przyczynowo-skutkowym, stwierdziła, że obsługiwać ten program umie jeszcze pani Żanetka, która właśnie wyszła na godzinę, ale to nic nie da, bo ona nie potrafi obsługiwać drukarki. W tej sytuacji Charuj zaryzykował pytanie, czy może w innym dziale pracuje ktoś, kto umie obsługiwać obydwa urządzenia, w wyniku czego został pouczony, że dane osobowe są poufne i byle kto nie może mieć do nich dostępu.

Komisarz O'Mlett słuchał tego ze szczerym zainteresowaniem. Owocny w cudowne niespodzianki trzymiesięczny pobyt w Polsce uzmysłowił mu już, że przemożnie skomplikowanej słowiańskiej duszy jego przodków nie złamie żadna zapluta cywilizacja i czuł się coraz bardziej dumny z przynależności swych korzeni do tego narodu, choć była to raczej duma dziecka, które jedyne z całego

przedszkola znalazło się czasowo w klatce szympanów. Zawodowa racjonalność myślenia, nadszarpywana co krok koniecznością wskakiwania nago w kaktusy, słabła w nim jak stary akumulator na mrozie i coraz wyraźniej czuł potrzebę przeprogramowania mózgu.

– U pani komputer top sekret? – upewnił się, aby nie było żadnych niedomówień.

– Ja tu nie mam żadnych sekretów! – obraziła się pani Aurelia.

– Chodzi o to, że informacje są ściśle tajne – wytłumaczył Charuj.

– Pewnie, że są. Jakby każdy tak chciał wszystko wiedzieć na zawołanie o kimś drugim, to pan wie, co by było?

– A jak pani Zianetka będzie kambek, to jusz nie szczyszle tajny ten komputer? – uśmiechnął się O'Mlett.

– Ona jest pracownikiem kadr – powiedziała pani Aurelia takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało.

– No to czekać na pani Zianetka i na zdrowy dzecko pani Mazienka! – podsumował komisarz – znaci robyle morda na dyrektor, to no problem. Problem, bo ne zdrowy dzecko pani Mazienka. Ya tera jusz rozumie. Ya pani dzenkuje!

Pani Aurelia kompletnie zbaraniała po tej wypowiedzi, bo czuła wyraźnie, że ten wysoki facet strasznie z niej dworuje, ale powaga

stanowiska, jakie piastowała, nie pozwoliła jej cofnąć się i poszukać jakiegoś kompromisu. Nauczono ją, że władza polega na mówieniu „nie”, bo „tak” potrafi powiedzieć każdy głupi i dodatkowo straci możliwość okazania swojej wszechmocy.

Szczęśliwie po kilku minutach kadrowej doniesiono, że powróciła pani Żanetka. Udało się jej po długich i ciężkich cierpieniach uzyskać dane z komputera, ale trzeba je było spisywać ręcznie z monitora, bo wszyscy w dziale bali się drukarki jak ognia. Charuj stał nad nimi jak kat nad dobrą duszą i po pół godzinie szczęśliwie było po sprawie. O'Mlett polecił jeszcze zatrzymać strażnika Krzyszczyzela w komendzie i postanowił z Charujem ocenić jakoś wyniki, które trzeba będzie przedstawić inspektorowi.

– Czort jeden wie, o co tu chodzi – stwierdził sierżant po krótkim namyśle – okna i drzwi wejściowe były zamknięte, w budynku tylko dwie osoby: ofiara i Krzyszczyzel, facet ma ranę z prawej strony szyi nie wiadomo czym zadaną, żadnych śladów walki, o ile się znam na ludziach, to ten strażnik na zabójcę mi nie wygląda! Mógł mieć, co prawda, jakiegoś wspólnika, którego wpuścić i wypuścić, i tę wersję trzeba by dokładniej pomacać, ale poza tym, to na razie guzik wiemy!

- Czeba pomacywacz stary czas tego ofiara!
- Znaczy, jego życiorys?

– Yes. Co ofiar robi rok, czy roki, pięć roki nazad!

Charuj wyciągnął życiorys Kwasignata przepisany z monitora dziecięcym pismem pani Żanetki: „Urodziłem się we wsi Parchy Stare 18 kwietnia 1957 roku w rodzinie rolniczej. Ojciec miał pięciohektarowe gospodarstwo narzucone mu do uprawiania przez komunistyczne władze w ramach tak zwanej reformy rolnej. Matka po kursie dla analfabetów, została zmuszona do pracy urzędniczej w miejscowej spółdzielni, wobec czego w domu panował głód i bieda. Do szkoły podstawowej chodziłem w latach 1964-1975, którą ukończyłem z wyróżnieniem. Następnie podjąłem naukę w kierunku zootechnicznym, specjalizując się w zakresie chorób pyska i racic. Po rocznych studiach przerwałem naukę ze względu na perfidne naciski wywierane na mnie przez komunistyczną administrację. Pracę zawodową podjąłem w roku 1978 w Zakładach Wytwórczych Strategicznych Wyróbów z Drotu (ZWSWD-7) w Kaczybłotach Pojezuickich na stanowisku starszego podkręcacza. Po dwuletniej pracy zostałem zwolniony za wrogą działalność i sabotaż, jak to wówczas określano, a w rzeczywistości za czynne zaangażowanie się w walkę o sprawiedliwość społeczną. Następnie podjąłem pracę w Instytucie Podstawowych Problemów Szczęśliwości Górnej w Gruszkach-Pliszkach Podlaskich, gdzie objąłem stanowisko dogryzacza. Na tym

etacie pracowałem aż do roku 1981, kiedy to reżimowe kierownictwo Instytutu wbrew mojej woli przeniosło mnie na stanowisko kierownika kotła co. Już wówczas czynnie włączyłem się w działania ruchu na rzecz obalenia, pełniąc funkcje w komisjach wydziałowej i zakładowej. Po roku 1989 zostałem wysunięty do pracy organizacyjnej, której poświęciłem się bez reszty. W roku 1992 przeszedłem do pracy w tut. instytucji. Kwasignat Benon, Warszawa, dnia 1 kwietnia 1992 r.”

– No i co? – zapytał Charuj, gdy skończył czytać.

– Dzwoni po kara i yadżem!

Samochód dostali nawet dość szybko. Podstawiono im poloneza bez koguta, w kolorze przypalanej jajecznicy i bez zapasowego koła, które od dwóch tygodni było w remoncie. Zostawili ekipę, która jeszcze grzebała się z mikrośladami. Charuj usiadł za kółkiem i pojechali. Z mapy wynikało, że wieś Parchy Stare leży w okolicach Włodawy, więc mieli przed sobą kawał drogi. Śniegu szczęśliwie nie było, ale pogoda psia, dokuczliwa mżawka i ślisko jak cholera, tak że sierżant prowadził jak z jajkiem. W pobliżu Warszawy na drogach szaleli nowi biznesmeni swoimi fordami i tojotami prowokując kolizję niemalże co kilometr, więc O’Mlett siedział spięty jak na krześle elektrycznym i modlił się do wszystkich protestanckich świętych, a nawet do kilku katolickich.

Dojechali już dobrze po zmroku i w gminie nie było nikogo poza stróżem i dwoma psami, mimo to bez kłopotów uzyskali informację.

– Kwasignaty? – ucieszył się stróż, gdy usłyszał o kogo chodzi – a to ony, juchy, mnięszkajum w Parchach Nowych!

– Nam wiadomo, że w Starych – nieśmiało zaoponował Charuj.

– A bo te, co som tera Nowe, za komuny były Stare i na obrót.

– A czemu to tak?

– Bo to wicie, panie, w Starych mnięszkały same obuzy, a w Nowych porzonne ludzie, i jak od Wyszczekalców Kaziuk za demokracji na posła sie szykował, to zapodał gdzie trzeba, że jest z Nowych, a nie ze Starych, bo nikto z okolicy by na niego nie głosował. To jak tym posłem ostał, to kazoł zmienić i tak tera jest!

– No to tu są Stare, a gdzie Nowe? – spytał sierżant.

– Za rzekom. Tylko mostu nie ma, bo pięć lat bedzie jak woda zniosła. Mieli stawić, ale ta obmiana Starych na Nowe tyle kosztowała, że już gminie nie starczyło!

– To jak przejedziemy?

– A kierujcie sie drogom na Trądzik i potem w prawo. Tam jest taki most, co od biedy przejedzie! Ale u Kwasignatów to nikogój nie ma, tylko babka ostała!

Co było robić? Pojechali. Most rzeczywiście był, ale pamiętał chyba czasy nie tylko komuny, ale i najjaśniejszego cara. O'Mlett

wysiadł i tupął mocno przed samochodem, a Charuj jechał z otwartymi drzwiami, żeby w razie czego wyskoczyć, no i jakoś przejechali. U Kwasiagnatów rzeczywiście była tylko babka. Wysła przed próg w chuścinie na głowie i chociaż łało, nie wpuściła ich do środka. Za nią wysła koza i patrzyła na przybyszów spode łba.

– Czego? – spytała gościnnie gospodyni w chustce.

– Dobry wieczór. Czy tu mieszkają państwo Kwasiagnatowie? – spytał układnie sierżant usiłując wejść pod okap, bo z dachu łało mu się za kołnierz.

– A bo co?

– Szukamy domu rodzinnego Benona Kwasiagnata.

– A wy same kto sum?

Charuj już miał na końcu języka odpowiedź „Zagłoba sum”, ale pohamował się w porę, bo dowcipu nie pojąłby nikt poza kozą, więc odrzekł prawdę:

– Jesteśmy z policji.

– A wiedziałam, że Benka kiedyś do pierdła posadзом!

– A za co?

– A za żywota! Mówiłam: kurów po nocach nie noś, bo cię kto widłami przebiję!

O'Mlett z Charujem spojrzeli na siebie bez słowa, a sierżant przyjął żałobny wyraz twarzy:

– Chcieliśmy powiadomić rodzinę, że pan dyrektor Benon Kwasignat uległ wczoraj wypadkowi...

– No i dobra! – przerwała mu babka – nawet na pogrzebie ojca ani matki nie był... ale jakżeście powiedzieli? Dyrektor? To może nie o tego chodzi!

– Urodził się w Parchach Starych w pięćdziesiątym siódmym, do szkoły chodził podstawowej, później do jakiejś zootechnicznej, oo, a to jego zdjęcie!

Babka przyjrzała się, ale niewiele zobaczyła. – Chodźta do chałupy – powiedziała – jak jesteśta z policji to mnie nie zarznięta! Nastąp się Mećka!

W izbie, przy lampie, okazało się, że to jednak ten. Babka była stryjną ojca denata, a żadnej bliższej rodziny nie było, bo „młodsze pojechali na saksy, a Gienka i Fele Ruskie gdzieś utłukli, pewnie też nie za niewinność”, tak że nawet nie było kogo powiadamiać.

– A żonaty był może? – spytał sierżant widząc, że niewiele się tu dowie.

– A był, był! Żone miał gdzieś spod Białegostoku, ale jak jej chciał gardło poderznąć, to się dziecko obraziła, jakby było za co, i się rozeszli, a potem ona gdzieś za morze pojechała!

A więc i tu ślad się urywał. Za to tak się obaj babce spodobali, że nie puściła ich na noc i dała osobną izbę w chałupie, tyle że zimną

jak cholera. Szczególnie O'Mlett wywarł na babce duże wrażenie, bo wysiłek porozumiewania się z nim pobudzał do działania jej zastałe szare komórki i komisarz doczekał się nawet komplementu – pan to musi być ucony! Oho! Jak jaki ksiądz!

– Czemu kszonc? – zainteresował się O'Mlett.

– On tys jak co powie, to normalny czułowiek nie rozumie!

Rano pożegnali się z babką i pojechali dalej. Kaczybłota Pojezuickie okazały się miejscowością leżącą czterdzieści kilometrów na północ od rodzinnej wsi denata. Miały dwie ulice: Kościelną i Ducha Świętego, przy czym Duch Święty był krótszy i z obu stron kończył się w kartoflach. Zakłady Wytwórcze Strategicznych Wyrobów z Drutu-7 mieściły się w rozwalonym baraku, mniej więcej w połowie Kościelnej. Obecnie miała tam siedzibę spółka z o. o. „KaczimpeX”, bo Zakłady uległy dokumentnej prywatyzacji poprzez rozkradzenie już w drugim roku kapitalizmu. Poprzedni dyrektor Zakładów, który obecnie był udziałowcem w spółce, nawet pamiętał Kwasignata, choć minęło już piętnaście lat:

– Do śmierci gada nie zapomnę! – powiedział z rozczuleniem. – Wiecie, panowie, robiliśmy spinacze biurowe, a ten tuman przez rok nie mógł się nauczyć, że wewnętrzny haczyk musi być mniejszy od zewnętrznego! Później zaczął mi podskakiwać, że jestem komuch i go gnoję politycznie. Mówiłem mu: Człowieku, możesz

być buddystą albo nawet arcybiskupem, byle byś drut mi równo wyginał! Nie wytrzymałem kiedyś i wypieprzyłem go na zbity łeb, a on doniósł na mnie do komitetu!

– A skoła u Kwazygnat była yaka? – zainteresował się O’Mlett.

– Podstawówkę miał, bo inaczej nie mógłbym go przyjąć.

– A zootechniczna? – spytał Charuj.

– Cooo? U weterynarza przez pół roku pracował, mięso nosił po badaniu, stamtąd do mnie przyszedł. Weterynarz go wykopał, bo nie odróżniał ryja od szynki. Przyjąłem z litości, bo tu trudno było drut z kijem pomylić, ale okazało się, że on nawet to potrafił! Cholernie zdolny był chłopak!

– A był. Dyrektorem został – z uśmiechem stwierdził Charuj.

Spółdzielca wybałuszył oczy, zamilkł i usiadł.

– Gdzie? – zapytał po chwili ochryple.

– W Warszawie. Na wysokim szczeblu administracji państwowej.

– O Jezu! – powiedział były szef ZWSWD – czas umierać!

– Właśnie wczoraj umarł – stwierdził sucho sierżant, patrząc pilnie w oczy swojemu rozmówcy – możliwe, że został zamordowany.

– O kurcze... a ja tak o nim negatywnie...

– Parso topsze – wtrącił O’Mlett – my chce ćisty prawda!

– Czy ma pan podejrzenie, kto mógłby go zabić? – spytał Charuj.

– Zabić? Nie! Nabijali się z niego ile wlezie, ale krzywdy mu nikt nie robił, więc czemu raptem teraz, po piętnastu latach?

– Nie wiem, może jednak komuś nastąpił na odcisk.

– Cholera wie – niepewnie powiedział spółdzielca – przecież bym coś słyszał, tu się wszyscy znają, a on jak stąd pojechał, to już się nie pojawił.

Goście zapisali wszystko, co było do zapisania i pojechali zostawiając byłego dyrektora ZWSWD-7 z kwadratowymi oczami, w których podziw walczył z niepokojem.

Gruszki-Pliszki Podlaskie leżały parę kilometrów w bok od szosy Biała Podlaska-Hajnówka. Osada rozciągała się wzdłuż drogi, a Instytut Podstawowych Problemów Szczęki Górnej mieścił się w lesie, około kilometra od ostatnich zabudowań. Człowiek w baraniej czapie, który pokazał policjantom drogę, zachowywał się dziwnie. Najpierw powiedział, że takiej instytucji tu nigdy nie było, później raptem przypomniał sobie o istnieniu czegoś takiego, ale zrobił to dopiero na wieść, z kim ma przyjemność. W końcu pokazał, gdzie należy skręcić w kierunku lasu, ale zaprezentował pogląd, że i tak tam nie dojadą.

– A laszego? – spytał O'Mlett przez odkręconą szybę poloneza.

– Tera tam biznesy jakieś siedzom, ja tam nie wiem – odrzekł niechętnie i polazł dalej błotnistym poboczem.

Rzeczywiście, po kilkuset metrach natrafili na drewniany szlaban, przy którym stał facet w panterce i szerokiej pelerynie.

– Nu, czewo nada? – spytał podchodząc do szyby.

Długie wyjaśnianie facetowi o co im chodzi, nic nie dało. Gość był spokojny, ale nieustępliwy.

– Nikakowo instituta zdzies niet – powtarzał monotonicznie po każdej serii wyjaśnień. Gadaliby tak może jeszcze godzinę, gdyby nie pojawił się obok inny samochód z dostatnio odzianym panem w średnim wieku za kierownicą, który usłyszawszy o co chodzi, z miejsca udzielił logicznej informacji:

– Instytut został rozwiązany trzy lata temu, ale wszelkie dokumenty zachowano. Jeżeli jeszcze ich nie odestali wyżej, to powinny być w gminie. Zgłóście się panowie do kierowniczk Kabańczuk, ona wam powie dokładniej!

Zawrócili i znaleźli urząd gminy. Kierowniczk Kabańczuk chwilowo nie było, ale jakaś panienska pobiegła gdzieś w opłotki i po chwili sprowadziła poszukiwaną. Po przedstawieniu się przystąpiono do sprawy. Dokumenty personalne były i szczęśliwie nie skomputeryzowane, więc w serce O'Mletta i Charuja wstąpiła nadzieja. Osłabła jednak natychmiast, gdy zobaczyli miejscowe

archiwum, była to bowiem komórka, w której zwalono sterty papieru luzem, starych segregatorów i innego biurowego chlamu. Na zdziwienie wyrażone przez Charuja kierowniczką odpowiedziała lekko:

– A kto by się tam przejmował tym spadkiem po komuchach!

– Przecież tu są dokumenty osobowe! Ludzie będą odchodzić na emeryturę, zmieniać zatrudnienie, szukać danych do rent! Jak pani zamierza te roszczenia zaspokoić?

– A co mi tam! Niech się wójt martwi, on tu kazał przenieść te papierzyska, ja za miesiąc stąd wyjeżdżam!

Cóż było robić, siedli i zaczęli grzebać. Po pół godzinie kierowniczką zlitowała się widocznie albo ktoś wyższy ją pogonił, bo przysłała im do pomocy pannę Ludmiłę. Luda, jak się przedstawiła, miała metr pięćdziesiąt wzrostu i tyle samo obwodu w bieuście i w biodrach oraz twarzyczkę jak druga strona księżycy przygotowana kolorystycznie do reklamy coca-coli. Siłę to dziewczę miało jak sam Garkowienko i praca poszła szybciej.

Zapadał już wczesny zmierzch listopadowy, gdy wreszcie znaleźli! Zanieśli to do światła, bo w komórcie nie było żarówki i zaczęli przeglądać kartkę po kartce: podanie o zatrudnienie w charakterze dogryzacza, jeden i drugi urlop, ankieta personalna, poprzednie świadectwo pracy...

– Zabieramy to – powiedział Charuj do Kabańczuk – zostawiamy pokwitowanie, widzi pani pieczęć? Komenda stołeczna.

– Ależ panowie, a jak on się zgłosi po świadectwo pracy, na przykład, to co ja powiem?

– To go pani odeśle do nas. My mamy wprawę w wystawianiu duchom świadectw pracy! Ten człowiek nie żyje, pani Kabańczuk, czemu raptem tak pilnie zaczęła pani dbać o przestrzeganie prawa?

Zabrali dokumenty, zostawili kierowniczkę z rozdziawioną gębą, wsiedli do poloneza i pojechali. W Warszawie byli po czterech godzinach, odprowadzili wóz pod komendę i zapytali o inspektora. Powiedziano im, że poszedł do domu, więc darowali sobie na dzisiaj umawiając się na rano w komendzie.

O'Mlett spędził noc bogobojnie, we własnym łóżku i bez piżamy, żeby mieć luz, bo ostatni nocleg u babci w Parchach Nowych nie należał do najwygodniejszych. Obudził się wypoczęty, choć śniło mu się, że jest w Ameryce w swoim mieszkaniu i widzi, jak pani Beatka wali kwasignata dziurkaczem do dokumentów, a on najspokojniej w świecie rozprostowuje druciane spinacze. O'Mlett chciał krzyknąć, ostrzec go, ale koza babci położyła mu łeb na ustach mówiąc: do śmierci będę gada pamiętała! Gdy się obudził, to okazało się, że to nie kozi łeb tylko

poduszka, więc wstał, ogolił się klnąc jak co dzień i pojechał do komendy.

Charuj siedział na biurku, z nogami na krześle i rozmawiał przez telefon z sądówką. Przez cały wczorajszy dzień babrali się tam z dostojnymi szczątkami dyrektora Kwasignata, pobierali próbki do analizy, grzebali w bebeczach, cięli na plasterki, a nawet zajrzeli do mózgu, gdzie podobno nic nie znaleźli. Na to ostatnie stwierdzenie Charuj oświadczył, że się temu nie dziwi, na co jego rozmówca po drugiej stronie drutu zainteresował się, co sierżant takiego wie, że akurat tę informację skomentował. Na koniec anatomopatolog oświadczył, że może coś powie po południu, jak dostanie niektóre wyniki, ale protokół to najwcześniej będzie na rano.

– No dobra, ale ta rana na szyi? Od czego, cholera?

– Sami jeszcze nie wiemy, trzeba czekać na wyniki!

– Dżura od yaki narzond? – krzyknął O'Mlett zbliżając twarz do słuchawki – narzond ciosa!

– Jaki narząd mam ciosać? – spytał zdziwiony głos z tamtej strony – czego wy, kurza twarz, chcecie?

– Kolera jaśna! Killer łapa narzond, dżabie i roby dżure! Yes! Gud! Dżura je, narzond ne je... znaczy ne ma!

– Aaa! No mówiłem, że może będę wiedział po południu! No to na razie cześć, bo mam na stole zadzieżgnięcie rajstopami!

Charuj zlązł z biurka i usiadł normalnie. – Pójdziemy do inspektora? – zapytał – bo na moje oko to za wcześnie, w końcu nic nie wiemy.

– Yes. No to tera robym w dokumenty.

– Przydałoby się.

– Co psidauro?

– No, rzeczywiście zrobić w te dokumenty i wychrzanić za okno!

Siedli i zabrali się do teczki personalnej Kwasignata z instytutu. Doczytali się, że rzeczywiście do osiemdziesiątego pierwszego pracował jako dogryzacz, a później przenieśli go do kotłowni centralnego ogrzewania. Przyczynę podali krótko: charakter konfliktowy, nie nadaje się do pracy w zespole ani do zadań wymagających samodzielnego myślenia. Przeniesiony na stanowisko pomocnika palacza CO. Palacz widocznie był facetem nadzwyczaj spokojnym, bo bez szemrania pracował z Kwasignatem przez przeszło siedem lat. Sam Kwasignat chyba nie był orłem w tym zawodzie, bo ani razu go nie awansowano, natomiast kilka razy karano za wszczywanie awantur z personelem.

Dokumentu o zwolnieniu Kwasignata nie znaleźli. O'Mlett myślał nad tym z godzinę, wreszcie powiedział:

– Znaczy, komunyścy ne dawa awans. Psziczina? Kwszygnat roby anty, on idze z demokraty! Czi tak?

– Co innego aktywna działalność polityczna, a co innego jego wykształcenie. Komuniści robili dużo złych rzeczy, ale uczyć się nie przeszkadzali. Gdyby tak było, to cały parlament miałby najwyżej podstawówkę!

– Ale yaka robota Kwaszygnat od oszemdzesząt jeden do april dżewendżeszonty dwa?

– Od grudnia osiemdziesiątego pierwszego przez dwa lata był stan wojenny, więc jeżeli pracował w instytucie, to go zmobilizowali i może nie być żadnych danych.

– Znaczi on saudżer... znaczi... noo... szolnesz?

– Nieee! Normalnie robił jak poprzednio, tylko nie mógł się sam zwolnić z roboty, a jakby porzucił pracę, to by go zamknęli.

– To mosze zamkli?

– Cholera wie, danych nie ma. Jak był bardzo aktywnym opozycjonistą, to mogli zamknąć, ale nie po osiemdziesiątym trzecim, raczej. Nie ten numer koźnierzyka!

– A co do ten sprawa ma kounerzika? – zdziwił się O'Mlett.

– Nic nie ma, tak się mówi – wyjaśnił Charuj żałując, że użył tego określenia – znaczy, że był za małą płotką, żeby go zamykać.

– Co znaczi puotkom? Znaczi taka lewa wieszcz do ucha?

– Nieee! Płotką! Płotka to taka mała ryba, za mała żeby ją zamykać... tfu... no, płotka, to taki ktoś, kto niewiele znaczy!

– Aha! Znaczi kwaszygnat mały puotka, znaczi litl namber ko-
unerzika, znaczi yego ne sadzom! Ya rozume! A duży puotka kto?

– Jak duża, to nie płotka. Duży szczupak albo rekin na przykład.

– Aha! Maua puotka, dużia ściupak! Ya muszy pamentacz!

– No dobra, ale dalej nie wiemy, co ten kwaszygnat robił przez
dziesięć lat. Jakby jakieś studia skończył, albo co, to by napisał
w życiorysie, więc nie skończył. Napisał, że pracował w komisji wy-
działowej i zakładowej do osiemdziesiątego dziewiątego, czyli mu-
siał gdzieś pracować, pewnie w tych szczękach, a później może go
wzięli do regionu, bo pisze, że miał pracę organizacyjną. Cholera,
uwierzyłbym gdyby nie to, że o poprzednim czasie napisał same
bzdury!

– A w tego regionu nie możemy zobaczyć?

– A wiemy, w którym? A poza tym w regionach w tamtym czasie
też był lepszy bałagan. Kto tam, bracie, prowadził jakieś akta per-
sonalne? Akta zbierali, jak chcieli komuś dokopać, ale nie na wła-
snych ludzi! Był człowiek, pracował i w porządku! To była walka,
bracie! A poza tym ten kwasignat, jak z akt wynika, to nie Einstein,
a dyrektorem został. Ktoś go przecież musiał protegować i miano-
wać, bo sam z siebie nie wyskoczył, jak diabeł z pudełka, ale tego
się, bracie, nie dowiesz! Takie czasy!

– Może pogadacz z pan prezes Bowryj?

– Można, ale niewiele to da. Jakby chciał co powiedzieć, to już by powiedział, a facet za wysoko stoi, żeby go naciskać!

– Ale to sze tyka morda! To krymynał!

– A dowody masz? Jak takiemu dowodów na stole nie położysz, to nawet gadać z tobą nie zechce. Chcesz, to zadzwonimy.

Zadzwonili. Najpierw pani magister Kalika długo szukała pani Papuś, a w końcu ta znalazła się i krótko poinformowała, że pan prezes wyjechał. Na pytanie: dokąd, powiedziała, że za granicę i raczej prędko nie wróci, bo ma napięty kalendarz spotkań.

– Ot i wszystko – powiedział Charuj, gdy skończyli rozmowę – pan prezes wyjechał i możemy go pocałować... Mówiłem, że tak będzie.

– Mówyuesz – przyznał O’Mlett, nawet gramatycznie, co wzbudziło podziw sierżanta. Ten pomyślał jeszcze minutę i powiedział:

– Co nam jeszcze zostało? No, może ta żona, co podobno wyjechała, wojsko, urząd ewidencji ludności i co? I chyba kościół!

– A po czo koszcół?

– Żeby się pomodlić o cud, bo bez tego za cholereę nie dojdziemy! Możemy pojechać, ale najpierw trzeba wiedzieć, co z sądówką.

Zakład Medycyny Sądowej nie obiecywał wyników przed ju-trzejszym przedpołudniem, więc zamówili się jeszcze na rozmowę

do inspektora, ale on sam zadzwonił po dziesięciu minutach i odwołał spotkanie:

– Wiecie, rozumiecie – powiedział – to rutynowa sprawa, prokurator się nie piekli, więc róbcie po kolei. Jak już będziecie wiedzieli, to pogadamy, a teraz mam konferencję!

– Znaczy, że nikt starego nie dodusza – stwierdził Charuj po skończonej rozmowie – wynika z tego, że ten Kwasignat nie był znowu taką straszną rybą, skoro nikt z wielkich nim się nie interesuje. No to mamy luz!

– No to yadżem!

– Chyba nie ma na co czekać. Jedziemy.

Tym razem dostali mazdę, bo akurat była wolna, popatrzyli ze zgrozą na kompletnie łyse opony, jak łeb Kodzaka, siedli i pojechali.

Za Siedlcami milczący dotąd O'Mlett, który przeżuwał w sobie jakieś skojarzenia, ozwał się nagle:

– Ty sucha! W Juesej yak kto topsze robi, to ne czeba fakulty. Nikt ne pita juniwersyty yak kto topry memedżer. Pocieba dla doktor, pocieba dla lajer, znaczi prokurator, nie czeba do ofis, do marketing! Mozie Kwaszygnat topra menedżer?

– I co, taki dobry, że przez dziesięć lat pracy nikt się na tym nie poznał? Nawet on sam się nie poznał, bo jak miałby jakieś zawodowe ambicje, to do czegoś by dążył, nie?

– Komunyszcy mu ne dawajom!

– Po pierwsze: nie dawali, a po drugie – dawali! Kto mu przeszkadzał?

– To ya ne wim... – powiedział O’Mlett i znów zamilkł na godzinę.

Wojskowa Komenda Uzupelnień w Przypatyczach mieściła się przy ulicy Mikołaja Kopernika, przemianowanej ostatnio na Świętego Mikołaja, pod numerem pierwszym. Innym numerów nie było, bo budynek WKU stał w szczerym polu. Wewnątrz siedział starszy szeregowy i obcinał paznokcie bagnetem od kbk AK. Na widok wchodzących schował bagnet do szuflady stołu, a wyjął z niej beret, który włożył na głowę. Wysłuchał, o co chodzi, skinął głową ze zrozumieniem, poprawił pas przesuwając klamrę na środek podbrzusza i rzekł:

– Książeczkę proszę.

– Gdybyśmy mieli książeczkę, to byśmy tu nie przyjeżdżali – logicznie odpowiedział Charuj.

– To co ja mogę bez książeczki. Zagubienie książeczki jest karalne, to jest dokument wojskowy!

– Książeczka nie została zagubiona, tylko jej nie odnaleziono – sprostował sierżant tonem starej nauczycielki. – Zależy nam na odnalezieniu gościa w ewidencji, sprawdzeniu czy w ogóle miał książeczkę i kartę mobilizacyjną, czy służył i gdzie!

– To ja muszę zameldować – stwierdził starszy szeregowy i zniknął w przyległym pokoju, z którego wyszedł po chwili osobnik umundurowany, w stopniu pomiędzy starszym kapralem a plutonowym, bo na lewym ramieniu miał trzy belki, a na prawym cztery, w rękę zaś olbrzymią igłę z czarną nitką, którą dłubał w zębach.

– O co chodzi? – zapytał głosem zmęczonego generała, którego ósmy raz budzą w nocy, by zameldować, że nic ważnego nie zaszło.

Po wyjaśnieniu sprawy od początku wielostopniowy podoficer powiedział:

– Aha. To ja przekażę – i znikł za tymi samymi drzwiami, z których wyszedł. Tym razem oczekiwanie trwało nieco dłużej, ale w końcu pojawił się starszy sierżant sztabowy. Zlustrował O’Mletta i Charuja wzrokiem oceniającym ewentualną możliwość przegonięcia ich pełzaniem wokół poczekalni i stwierdziwszy widocznie nieprzydatność pomysłu wychrypiął:

– Panowie w jakiej sprawie?

Charuj westchnął jak wieloryb cierpiący na astmę i rozpoczął wyjaśnianie od nowa, starając się przy tym maksymalnie tę relację skrócić, bo wiedział z doświadczenia, że starsi sierżanci sztabowi nie znoszą gadaniny. Dostojnik wojskowy wysłuchał tego dość spokojnie, po czym rzekł:

– Książeczkę proszę!

Charuj zaczął przemawiać po raz czwarty, a O'Mlett usiadł na krześle stojącym pod ścianą i o mało nie zleciał na podłogę, bo okazało się, że jedna noga tego krzesła była bardzo udaną atrapą. Gdy Charuj skończył swoje exposé, adresat mowy stwierdził krótko:

– Kto wystawił książeczkę, a?

– Panie starszy sierżancie sztabowy – powiedział Charuj zaciskając dłonie na barierce – ja naprawdę umiem czytać i gdybym miał tę książeczkę, to sam bym z niej odcyfrował, aczkolwiek pewnie z trudem, wszystko to, o co was pytam! Ludzie! Ratunku! Poszukajcie w papierach!

– Niech komenda wystąpi z pismem, to odpowiemy w terminie jednego miesiąca czyli trzydzieści dni od daty wpływu na dziennik! – wyrecytował starszy sierżant i rozpiął górny guzik munduru.

– A od razu nie można? Myśmy specjalnie po to z Warszawy przyjechali – załkał Charuj głosem dewotki kiwającej się pod figurą Świętego Antoniego.

– No dobrze – raptem zgodził się starszy sztabowy i odwróciwszy się w stronę drzwi do dalszych pomieszczeń ryknął tak, że O'Mlett cofnął się o pół kroku:

– Makolągwaaaa!

– Ta je! – ozwał się ryk z wnętrza, ale o wyższej tonacji.

– Weźcie i poszukajcie tego tam...!

Teraz już sprawy potoczyły się błyskawicznie. Nazwisko Kwasięgnata figurowało w ewidencji, a uczyniony przy nim zapis definitywnie rozwiewał wszelkie wątpliwości. Starszy szeregowy wywniół księgę i położywszy ją na barierce wskazał palcem rubrykę, w której stało jak byk od lewej do prawej: „Kwasignat Benon, syn Walerego, ur. 18.04.1957 w Parchy Stare, kat. nie określono, przedpoborowy poborowy żołnierz służby zas, niepotrzebne skreślić, wydano dok. wojsk. nr. seria kreska, dnia, kreska, powołany do odb. zas. sł. wojsk. kreska, dnia: kreska, w J.W. kreska, specj. wojsk. kreska, uwagi: nie żyje, podpis kom. jakiś mazaj. 2.5.79.”

– No widzicie, nie żyje! – z satysfakcją stwierdził starszy sierżant sztabowy, nie ukrywając, że treść zapisu uwolniła go od dalszego ciągu poszukiwań – wystarczy wam to?

– W zasadzie wystarczy – powiedział Charuj – ale tu jest data zapisu: 2 maja 1979 roku, a on rzeczywiście nie żyje, ale dopiero od przedwczoraj. Nawet go jeszcze nie pochowali! Ciekawe, na jakiej podstawie wówczas stwierdzono, że on nie żyje?

– Nooo, musiała być jakaś podstawa! – zapewnił starszy sierżant sztabowy – w wojsku nie ma tak to tamto, pewnie to nie on umarł przedwczoraj! Jeżeli zapisano, że nie żyje, to nie żył, bo inaczej zostałyby powołany do odbycia!

– Senks, dowydzenia – powiedział O’Mlett z rezygnacją.

Wyszli, milcząc siedli do mazdy i sierżant zabrał się do uruchamiania silnika. Rozrusznik jęczał, cierpiał i zgrzytał, ale w końcu jakoś dał radę i ruszyli.

– Gdzie robi Kwasygnat w maja szedemdżeśont dżewionty?

– Krzywił spinacze w Kaczybłotach Pojezuickich – odpowiedział Charuj – a co?

– Nicz. Znaczi ktosz da weszcz do army, że on deet! Czekawy kto?

– Czort go znajet. Warto by poszukać tej jego żony. Wyjechała, ale może już wróciła, poza tym trzeba zadzwonić do Warszawy i zapytać, czy może coś znaleźli w jego mieszkaniu. Ja bym poszukał urzędu stanu cywilnego, co?

– Fajn, pośukau!

Urząd gminy znajdował się w rynku, który teraz nazywał się placem Wszystkich Świątych, bo zbiegały się tam ulice pod wezwaniem poszczególnych świętych, więc rada gminy doszła do wniosku, że nie ma co łamać sobie głowy. Budynek był okazały, piętrowy i tylko z tyłu odrapany, a z dwóch balkonów aż jeden jeszcze trzymał się kupy. Przed frontowym portalem wisiało osiemnaście różnych tabliczek, bo urząd gminy był oszczędny i nie mógł sobie pozwolić na marnotrawstwo powierzchniowe. Nikt się temu nie dziwił skoro na plebani wisiały trzy tabliczki,

a na domu katechetycznym, fasadą przypominającym zamek krzyżacki, aż jedenaście.

Pokój urzędu stanu cywilnego mieścił się na piętrze. Panienska siedząca wewnątrz akurat piła kawę, więc musieli poczekać, ale nie nudziło się im, bo ściany były oklejone całą masą różnych napisów informacyjnych, nakazów i zakazów. Szczególnie O'Mlett czytał je i chłonał jak życiodajny nektar:

– Toaleta mienzka cinna 10-13, fajn, a yak ktosz siusza do gacze o 9.30, to yt ys farbydn... znaczi ne można? Ooo! paczi tu! Szwadestw zgonu ne widaye sze po 15, he, he, O'key, umerać ofis każe psiet 15! Abo tu! Ne pluć na poduoge! Fpożontku, na okno, ksiesuo, szczana moźie pluć, na poduoge na moźe! Gud!

Panienska szczęśliwie przestała pić kawę, więc powiedzieli jej o co chodzi. O dziwo, była chętna do pomocy i przerzuciła pięć lat ksiąg zanim znalazła. Akt ślubu był, ale rozwodu nie było, więc spisali to wszystko dokładnie, podziękowali pięknie panience i już mieli wyjść, kiedy O'Mlett nie wytrzymał:

– Juś godźyna ćternasty, sorry, gdzie toalet? – zapytał niewinnie.

– Niech pan idzie do damskiej – szepnęła zaczerwieniona czegoś panienska – w męskiej o 13 zakręca się wodę, bo cieknie do piwnicy, a tam od 13 pracuje hurtownia zdrowej żywności.

Usiedli w samochodzie i przeczytali to, co zapisali. Żona Kwasignata była z domu Brzdulik, na imię miała Franciszka Ignacja, urodziła się 2 listopada 1961 roku we wsi Szczypiduszki gromada Klabzdruje, z ojca Szczepana i matki Balbiny z domu Hrup. Za Kwasignata wyszła 12 czerwca 1978 roku, czyli w czasie, gdy on zaczął krzywo zaginać drut w Kaczybłotach Pojezuickich. Kim była z zawodu – nie wiadomo, trudno zresztą pytać o zawód siedemnastoletnią dziewczynę, świadkami na ślubie byli: Jan Pyskaty i Rozalia Przyduś, co stwierdzono na podstawie dowodów osobistych. O ewentualnych dzieciach ani o rozwodzie ani słowa. I tak mieli szczęście, że udało się im od razu trafić do właściwego urzędu i że ten przybytek był otwarty. Pojechali na komendę policji, która mieściła się między plebanią a knajpą, w której nie było nic czystego poza wódką i zadzwonili do Warszawy. Posterunkowy Wygruzalik zostawiony na dyżurze poinformował ich, że wyników sekcji jeszcze nie ma, a w mieszkaniu Kwasignata nie znaleziono nic interesującego, zresztą sami zobaczą, bo ekipa wsadziła wszystko w worek. Policjant dostał polecenie zadzwonienia do biura ewidencji ludności i oddzwonienia z danymi Franciszki Ignacji Brzduli-Kwasignatowej do komendy w Przypatyczach.

Chwilowo nie było co robić, więc ucięli sobie pogawędkę z komendantem, który z rozdziawioną gębą chłonał każde sło-

wo O'Mletta i podziwiał jego amerykański sposób siedzenia, trzymania szklanki, a nawet drapania się w brzuch przez kieszeń. Komendant okazał się facetem tak gościnnym, że zaprosił ich na noc do domu, żeby nie musieli po ciemku telepać się do Warszawy. Zgodzili się chętnie, a Charuj pozwolił O'Mlettowi osobiście podziękować, co wywołało u komendanta zachwyty graniczący z rozkoszą seksualną.

Po godzinie oddzwonił z Warszawy Wygruzalik i zameldował, że taka jest, żyje i mieszka we wsi Daskubienniki koło Gołdapi.

Za późno było wybierać się taki kawał samochodem po nocy, poszli do komendanta, którego żona stanęła na wysokości zadania podając takie kołduny w barszczu, że O'Mlettowi jego zeszłoroczny, tygodniowy pobyt na Hawajach z miejsca wydał się mniej atrakcyjny.

Kołduny nie dały się jeść bez wódki, bo to nie po chrześcijańsku i inspektor, wychowany na drinkach i aperitifach, w których alkohol występował bardziej jako środek do mycia szklanek niż rzeczywisty składnik, doszedł do wniosku, że w tych warunkach ten komunizm dałoby się jakoś znieść.

Spać poszli wcześniej, bo rano trzeba było jechać do tych Daskubienników. Syn komendanta, który był ministrantem, wrócił właśnie z jakichś wieczornych nauk i poinformował ich na dobranoc,

że ksiądz ich serdecznie pozdrowia. Widząc zdziwienie O'Mletta Charuj zapytał z uśmiechem:

– Nie wiesz, że wywiad watykański zawsze był lepszy od CIA?

Rankiem podziękowali gościnnym gospodarzom i pojechali. Deszcz ustał i jechało się im w miarę znośnie. Od strony granicy ciągnęły całe kolumny ład, żiguli i różnych innych uazów i kama-zów wiozących co się tylko da załadować w pasiaste, plastikowe torby. Kierowcy tych pojazdów stosowali się do przepisów obo-wiązujących u nich, czyli praktycznie do żadnych. Stawali na pobo-czach gdzie chcieli, naprawiali te swoje pojazdy przy pomocy sier-pa i młota, jedli i pili na parkingach albo gdziekolwiek i gubili багаż przywiązywany do dachów papierowym sznurkiem. W miastecz-kach, przez które przejeżdżali, rozkładali plastikowe płachty na zabłoconych chodnikach i sprzedawali, sprzedawali, sprzedawali. Nawet nieźle im to szło, ludzie kupowali jakieś czerwone budziki-koszmarki, radioaktywne prześcieradła, wódkę wyprodukowaną ze spirytusu do mycia szyb w śmigłowcach bojowych i urywające palce petardy noworoczne dla dzieci. Czasami wśród handlujących pojawiali się krótko ostrzyżeni młodzieńcy w skórzanych kurtkach i butach z awgańskiego demobilu. Ściągali haracz w dolarach i zło-cie, a opornych poddawali specjalnemu traktowaniu, po którym dalsza podróż okazywała się zazwyczaj niemożliwa.

O'Mlett patrzył na to wszystko przez szybę mazdy i nie dziwił się nawet bo przywykł po przeszło trzech miesiącach pobytu, kilku wizytach na warszawskim Stadionie Dziesięciolecia i kontaktach ze światem biznesu w czasie poprzednio prowadzonej sprawy zniknięcia niejakiego Ciurbola Zenona, typowego przedstawiciela nowego kapitalizmu.

Do Gołdapi dojechali jeszcze przed południem i poszukali na mapie tych Dorskubienników. Leżały nad samą granicą, w pobliżu malowniczego jeziora tkwiącego jak oko w twarzy starych lasów.

Wieś była rozrzucona na dwóch pagórkach, ale city koncentrowało się przy drodze prowadzącej donikąd, bo na jej przedłużeniu nie było żadnego przejścia granicznego.

Najpierw zajechali do sołtysa. Siedziby gminy tu nie było, posterunku policji też, czasami zaglądała tylko straż graniczna, więc sołtys był praktycznie jedyną władzą. Na widok mazdy zajeżdżającej przed dom wyszła z niego kobiecina metr czterdzieści wzrostu, o twarzy, przy której pieczone jabłko byłoby gładkie, jak kula bilaradowa. Założyła ręce po napoleońsku w miejscu, w którym niektóre kobiety mają piersi i stała bez słowa, obserwując wysiadających.

- Dzień dobry pani – powiedział Charuj podchodząc do płotu. Babcia nie drgnęła ani nie powiedziała, ani słowa.
- Czy zastaliśmy sołtysa?

Milczenie.

– Czy tu mieszka sołtys?

Kompletna ryba.

– Halo, proszę pani! My do sołtysa!

Dalej żona Lota.

– Bludy... – zaklął O'Mlett, a sierżant westchnął i oparł się dłońmi o płot. Nagle kobieta odwróciła się, weszła do domu bez pośpiechu i szczelnie zamknęła drzwi za sobą. Obaj policjanci stali dalej przy płocie jak dziady kalwaryjskie i patrzyli na drzwi przysadzistej chałupy, obok których widniała czerwona tabliczka z napisem „sołtys”.

Po ładnych paru minutach drzwi otworzyły się znowu z przeraźliwym skrzypieniem i wyszedł z nich chłop. Odziany był w barani półkożuszek i olbrzymią, czarną czapę wpadającą mu na oczy. Stał przed drzwiami i patrzył. Trwało to tak z minutę i gdy Charuj zaczął już tracić nadzieję na nawiązanie jakiegokolwiek kontaktu, chłop rozchylił nieco otwór gębowy i wymamrotał:

– Nu?

– Czy pan jest tu sołtysem? – spytał sierżant.

– Nu.

– Szukamy jednej osoby. Czy możemy porozmawiać?

– Nu.

– Czy możemy wejść przez furtkę, bo niewygodnie tak rozmawiać na odległość.

Milczenie.

– No to jak? Możemy wejść?

Chłop machnął ręką, co mogło oznaczać dosłownie wszystko, od zaproszenia na wesele do wyroku śmierci. Zaryzykowali, pchnęli furtkę i weszli do ogródka przed domem. Chłop nie drgnął tylko patrzył na nich spod swojej baranicy licząc im każdy krok.

– Szukamy pani Franciszki Brzdulik albo Kwasignat, możliwe, że teraz inaczej się nazywa. Ma 34 lata.

– Nu.

– Mieszka tu taka?

– No.

Niespodziewaną zmianę „nu” na „no” Charuj odczytał jako potwierdzenie, co pozwalało ewentualnie na wszczęcie dalszych negocjacji. Nie chciał na razie informować chłopca, kim są, bo wiedział z doświadczenia, że taka wieść mogłaby spowodować natychmiastowe uruchomienie miejscowego kontrwywiadu i ukrycie się poszukiwanego lub, w najlepszym wypadku, zamknięcie dostępu do dalszych informacji. Dlatego zapytał tylko najłagodniejszym tonem, na jaki było go stać:

– A gdzie mieszka?

Chłop przez trzydzieści sekund milczał bez ruchu, wreszcie podniósł ociężale prawą rękę i machnął nią w kierunku, z którego przyjechali.

Przez dobrą chwilę patrzyli jeszcze na chłopa, później na siebie i znów na chłopa, ale widząc, że nie wykona on więcej żadnego ruchu ani niczego nie powie, skłonili przed nim głowy i odeszli do samochodu. Sołtys patrzył za nimi wzrokiem strzelca wyborowego, który prowadzi muszkę za celem i z zimną bezwzględnością czeka na moment naciśnięcia spustu.

We wskazanym kierunku było sześć chałup, więc nie opłacało się ciągle wsiadać i wysiadać, dlatego też Charuj mruknął do O'Mletta.

– Prowadź, a ja przejdę się trochę. Czort wie, w której chacie ona mieszka.

Miejsce pobytu pani Franciszki pomógł odkryć przypadek i policyjny nos Charuja, zauważył on bowiem, jak z zaplecza chałupy sołtysa wypadła jakaś dziewczynina zawinięta w chustkę i w kaloszach na gołych nogach pognąła opłotkami do jednego z domów.

– Kontrwywiad działa, to tam! – powiedział sierżant do komisarza i obaj ruszyli w kierunku domku pomalowanego wściekłą ultramaryną, z różowymi okiennicami. Furtki nie było, więc weszli

i zapukali do drzwi, widząc w obu oknach budynku kilka par zaniepokojonych oczu.

Po minucie drzwi uchyliły się i wyszedł z nich mężczyzna nie goleny chyba od dwóch tygodni, w spodniach od wojskowej panterki i uzbrojony w motykę na dębowym trzonku.

– Czy tu mieszka pani Franciszka Brzdulik? – spytał Charuj.

– A bo co? – tym razem odpowiedź była natychmiastowa i dostatecznie agresywna, aby odstraszyć pluton marines wzmocniony śmigłowcami.

Tym razem Charuj postanowił się ujawnić:

– Jesteśmy z policji – rzekł pokazując legitymację i dyskretnie odchylając przy tym kurtkę, aby rozmówca mógł zauważyć szelki z kaburą P-83 – i chcielibyśmy zamienić kilka słów z panią Franciszką. Sprawa nie dotyczy jej tylko zupełnie kogo innego i nie stąd! – dodał wyjaśniająco, aby rozładować czujność właściciela motyki. Ten omiółt ich wzrokiem nader szczegółowo i po kilkunastu sekundach wahania uchylił drzwi.

Izba, do której weszli, umeblowana była okazale. Pod ścianą stał kredens na wysoki połysk, zastawiony bibelotami, z których najgustowniejszym był różowy zajączek z mordą Ala Capone, a największym – plastikowy karabin maszynowy systemu Diektariewa. Na ścianach wisały makatki, z których najbarwniejsza no-

siła napis „da zdrastwujet krasnaja armia”, a na niej zawieszono obraz przedstawiający świętego Franciszka wśród ptaków. Ptaki były żywcem z Hiczkoka, a sam święty miał obie ręce wyłamane w stawach łokciowych i twarz starego, obleśnego satyra. Inne przedmioty nie ustępowały doskonałością formy, tak że O’Mlett zatrzymał się w drzwiach i napawał się widokiem tak zachłannie, że sierżant musiał chrząknięciem przywrócić go do rzeczywistości.

Kobieta, która stanęła przed nimi, miała na oko z pięćdziesiąt lat, włosy nieokreślonego koloru, a z lewej strony szyi bliznę długości dwunastu centymetrów, po niechlujnie zaszytej ranie. Patrzyła na nich niespokojnie i bez przerwy wycierała ręce w fartuch.

– Czy pani Franciszka Brzdulik? – spytał Charuj.

– Ttaak – odpowiedziała z niepokojem.

Gdy wyszli po godzinie i wsiedli do mazdy, mieli już przed oczami dość barwny obraz krótkiego małżeństwa szanownego pana dyrektora Benona Kwasignata.

Wkrótce po ślubie okazało się, że Benon Kwasignat kompletnie nie nadaje się do współżycia z kimkolwiek. Był chorobliwie zazdrosny, a do tego interesowała go wyłącznie egzystencja na czyjś koszt. Mieszkali w klitce wynajętej od gospodarza, ona pracowała jako sprzątaczką w Wojskowej Komendzie Rejonowej w Przypatyczach, a on udawał, że pracuje w wytwórni spinaczy biuro-

wych, ale w rzeczywistości to żarł się ze wszystkimi i o wszystko. Ją tłukł prawie codziennie, a gdy wyrzucono go z roboty w kwietniu 1979, to nie usiłował nawet znaleźć żadnego innego zajęcia, choć ich gospodarz proponował mu zatrudnienie przy krowach za wikt i mieszkanie. W końcu kwietnia, w czasie kolejnej awantury złapał za nóż i chlasnął ją po gardle. Gdy odzyskała przytomność w szpitalu, powiedzieli jej, że pewnie się utopił w pobliskim bagnie, bo widziano go jak biegł w tamtą stronę. Po miesiącu wróciła do roboty w wukaerze, gdzie wszyscy jej współczuli, ale nikt nie pomógł, bo wiadomo, że pracownik cywilny w wojsku stoi niżej od psa kapitana, chyba że jest członkiem rodziny kogoś z kadry.

Po trzech miesiącach przyjechała tutaj, bo spotkała człowieka, który się nią zaopiekował. Rodziny nie miała, a Kwasignata nie szukała, bo i po co, skoro jej powiedzieli, że jest wdową. Nowego ślubu nie wzięła i było jej wszystko jedno, teraz ma męża, dzieci i nie chce słyszeć o żadnym Kwasignacie i jego pogrzebie, choćby nawet jej skarby zostawił w spadku.

– Jedny pożonny czuówek w ten famyla – stwierdził O'Mlett, gdy jechali drogą w kierunku szosy Giżycko-Łomża.

– Taaak – potwierdził Charuj – wynika z tego, że pan dyrektor zdrowo dał jej popić i popalić! Ale to nam nie wyjaśnia, kto go stuknął!

– Ona ne może sztuknąć – zgodził się O'Mlett – ona bidny ko-bita, a jej monsz...

– Konkubin – poprawił Charuj.

– Topsze. Jej końkubyn tysz nic ne wi, a monsz je trup! A polys ne śuka Kwasygnat, gdy on zazina? Laszego?

– No wiesz, pewnie myśleli, że utonął w tym bagnie! Odłożyli sprawę do szuflady i po ptokach.

Do Warszawy dojechali po zmroku. W komendzie czekał na nich Wygruzalik z workiem szpargałów zabranych z mieszkania Kwasi-gnata i z informacją, że mają natychmiast zadzwonić na sądówkę. Charuj nawet nie zdjął czapki i złapał za słuchawkę. Jak tylko usłyszał w niej głos znajomego anatomopatologa, to zamienił się w słup soli i słuchał z zapartym tchem. Doktor informował go bez-namiętnie, że śmierć Kwasi-gnata nastąpiła na skutek rozerwania tętnicy szyjnej prawej i związanego z tym wykrwawienia. Gdyby znaleziono go o jakieś trzy godziny wcześniej, to pewnie udałoby się go uratować, ale tak...

– No dobrze! – zakrzyknął sierżant – to, to ja wiedziałem już tam na miejscu! Nam chodzi o narzędzie! No i ta szczęka! Jego czy nie jego?

– Jego – odpowiedział lekarz – miał olbrzymie ubytki w obu szczękach.

- To skąd się znalazła na podłodze?
- A bo ja wiem? To już wy powinniście wiedzieć. Mogła mu na przykład wypaść w czasie drgawek, mógł ją sam wyjąć, kto go wie!
- A narzędzie? Czym go walnęli?
- Jego nie walnęli – odrzekł doktor z wahaniem – wygląda na to, że jego coś ukąsiło! Jakby pies, ale bez kłów! Wszystko jest w protokole, jak ktoś przyjedzie to mu wydadzą. Ja idę do domu.
- Cholera nagła, pies bez kłów – stwierdził Charuj bezradnie.
- Znaczy stara pies. I czo? Wiszet pies komyn, yak szfenty Mykołaj? Paranoj! – orzekł O’Mlett i usiadł na biurku.
- Faktycznie, pies odpada. No to kto?
- Pies nie, ale nażont dla gryżenie!
- Co? Maszynka do mięsa? Zęby teściowej do zszywek?
- Ne wem, może jaki zabafka z park jurayski!
- Nic takiego nie znaleźliśmy! I co? Facet wszedł z tą zabawką, urwał Kwasignatowi pół szyi i wyszedł? I jeszcze zabrał toto ze sobą? Kurza stopa, jak w najlepszym filmie! Nie ma wyjścia, trzeba tam pojechać jeszcze raz i pogłówkować na miejscu!
- Topra, ale jutro – zgodził się komisarz – zroby jakom kawę, bez kofy ya neboszcik.

Charuj nalał kawy i siedli we trzech z Wygruzalikiem do przeglądania tego worka z rzeczami Kwasignata. Dokumentów to tam

było niewiele, ale przeglądali wszystko po kolei. Kwit z pralni sprzed roku na dwa krawaty bawełniane odłożyli na bok, elektryczna maszynka do golenia marki „charkiw” też ich nie zainteresowała, bo chociaż można by się nią nieźle ponacinać, to była w domu, a nie w gabinecie. Damskie majtki nie pierwszej świeżości nie stanowiły żadnego śladu, zarówno jak pół butelki wody kolońskiej używanej najczęściej przez elegantów z przedmieścia. Jakąś nadzieję dał im kalendarzyk na rok 1994, ale Charuj przejrzał go kartka po kartce i okazało się, że jest czysty jak sumienie arcybiskupa. Pędzel do golenia, dziecięce nożyczki do papieru i wypisany długopis, zarówno jak talia kart bez dwóch asów też nie były żadnym łupem, a stoik dżemu truskawkowego ze skreślonym napisem „niskosłodzony” i tuba pasty śledziowej nie okazały się godnymi zainteresowania, bo ktoś Kwasignata zaciukał, a nie otruł. Był tam jeszcze zeszyt szesnastokartkowy w kratkę z wyrwaną środkową kartką, też idealnie czysty i dwa kółka do kluczy bez kluczy, z czego jedno złamane. Dalej następowało pół rolki papieru toaletowego, złamana linijka, pusta zapalniczka jednorazówka, niechlujnie zatemperowany ołówek i dobry scyzoryk marki „Gerlach” w czerwonej okładzinie. Zainteresowanie wzbudziły tylko dwa bilety wizytowe: jeden na nazwisko Felicjan Paskuda – przedstawiciel, ale bez określenia – kogo, a drugi firmy

„KLAAPEX” sp. z o. o. Warszawa, Niefartowna 13, z nadrukiem:
Jolanta Gibulak – prezes.

– Yturo poyedżem – powiedział O’Mlett podając wizytówkę Charujowi, co ten potwierdził skinieniem głowy.

Z mieszkania Kwassignata nie ruszono mebli, pościeli, czajnika z gwizdkiem, dwóch szklanek, garnka z jednym uchem, trzech różnych talerzyków, dwóch widelców, łyżeczki i telefonu, wobec czego O’Mlett uznał, że nie było to zbyt wyszukane wyposażenie jak na dyrektorską garsonierę.

– No i znowu klapa – stwierdził sierżant – jednak trochę liczyłem na ten worek, chociaż powiedzieli wczoraj, że tam nic nie ma. Znowu siedzimy z ręką w nocniku!

– Coś tu ne gra! – orzekł nagle komisarz po minutowym milczeniu – czy on tilko yeden meszkanie? Może je druga meszkanie! W to meszkanie żadny kobeta!

– Jak to, a te majtki? – wtrącił Wygruzalik.

– W maytky ne ma dowoda! On może przynosi one z yaki sex!

– Co fetyszysta? – uśmiechnął się Charuj.

– Co je fetysziszta? – zainteresował się O’Mlett.

– To taki, co się podnieca takimi rzeczami, no, działają na niego, kapujesz komisarzu?

– Aaa! Może, może. Kolera wi ten Kwaszygnat! On żonaty, a późni ne żonaty, duży roki...

– Wiele lat – poprawił Charuj.

– Yes, wele lat i co? On yaki kszonc? On yaki szfenti?

– No, święty to on na pewno nie był! – roześmiał się Charuj.

– No! Tu bi rajt! My szuka kobeta od Kwaszygnat!

Następnego dnia z samego rana pojechali na Niefartowną trzy-naście. Budynek był stary, drewniany, a na bramie wisiała tablica z napisem „obiekt przeznaczony do rozbiórki”. Gospodynią była zażywna jejmość, która zapytana o firmę „KLAAPEX” wybuchła takim stekiem wyzwisk, że nawet Charuj, przyzwyczajony do języka półświatka, poczuł niejaki zaskoczenie.

– Dwieście milionów mi som winne, cholery, za komorne! Najmarniej dwieście, bo za wode im nie liczyłam! Biznesmeny zarzygane, a to po angielsku ta ździra tu mówiła, a to po rusku, a dwieście milionów jak psu pod ogon! Ja im, w morde kapanym, jeszcze pokaże! Ja im...

– To co, nie ma już tej firmy? – Charuj przerwał wartki potok wymowy zażywniej gospodyni.

– A zwineli się w jedne noc! Te komputry zabrali, jeszcze mój stół wynieśli, co jeim pożyczylam! Na policje dałam, to powiedzieli żeby do prekuratora! Do prekuratora dałam, to powiedzieli, że

mała szkodliwość społeczna, kurna jeich, może dla nich mała, jak drugie, kurna, po dziesięć miliardów kradną, ale nie dla mnie! A wy też pewnie z prekuratury? Co? Bo tu już z pięć razy byli i mówili, że to jakieś koszta demokracji czy czego! Ja tam takiej demokracji nie chce, jak mi taka dziwka dwieście baniek nie płaci i jeszcze stół zabiera od kompletu!

– Tu ślada aut! My musimy wiele śledzi! – stwierdził O’Mlett.

– Jakich znowu śledzi? – wybuchła jejmość – ony w śledziach nie robili tylko w krasnalach z Niemiec! To na śledziach też kogo nacieli?

– Okej, choc, yadżemy.

– Ooo! Ta ździra tyż co raz to mówiła okiej! Okiej i okiej! I co z tego okieja? Że dwieście baniek jezdem stratna!

Co było robić? Pojechali do miejsca wydajnej pracy dyrektora Kwassignata. Przywitano ich tam z żalobnymi minami, choć zza niektórych, opuszczonych w smutku powiek przebijały błyski zupełnie innych odczuć. O’Mlett skrupulatnie notował w pamięci te objawy odbiegające od przyjętej sztampy i, gdy zostali sami z Charujem w pustym pokoju, podzielił się z nim tymi spostrzeżeniami:

– Mauo ludzie żaujom Kwazygnat, to je symptom! Ciego!

– Że nie wszyscy go lubili.

– Yes. Tera my rozmawa z te, co ne lubyli. Okej?

– Yes – odpowiedział sierżant z uśmiechem.

Starszy strażnik straży prezesowskiej Jan Krzyszczyżel był już z powrotem w pracy. Przesiedział trzydzieści sześć godzin za niewinność, przeprosili go i wypuścili. Teraz został zatrudniony przez Charuja do zapraszania kolejnych osób na rozmowę i podjął się tej funkcji z gorliwością bohatera narodowego na polu chwały.

Pierwszą osobą, którą wezwali, była pani Grażyna Fluksjan, z Biura Zaspokajania Prasy Krajowej i Zagranicznej. Komórka była szczególnie eksponowana w strukturze organizacyjnej, bo jak wiadomo, prasa zawsze pisze to, co chce, a nie to co jej mówią. Dawniej prasa pisała to, co jej mówili, a mimo to była bardziej wiarygodna niż teraz, bo dzieliła społeczeństwo na tych, co jej wierzyli i na niewierzących, a teraz, przy wielości interpretacji, ilość wierzących znacznie spadła, więc procentowo rzecz biorąc obniżyła się też wiarygodność prasy. Dla O'Mletta taki stan był normalny, ale Charuj zżymał się czasami, gdy przeczytał w czterech różnych gazetach pięć wersji tego samego faktu, z których żadna nie była prawdziwa.

– Press rzondzi! – powiedział O'Mlett, gdy sierżant wyjawiał mu swój punkt widzenia – press kazuje myśleć! Kto ne myszli, press myszli za onego, a liczy ne trus... znaczy prawda, a duzio tysionc i tysionc gazeta!

– Duży nakład? – podsunął sierżant.

– Ooo, yes! Duzi nakuat! Duzio ludże czita, duzio ludże wierzy, duzio ludże daye dolar... znaczy penionc! Tak?

– Tak!

– No! Ti sam wydzi. Press rzondzi! Yak ne ma penionc, to ne rzondzi.

Pani Fluksjan była zaledwie płotką w biurze, choć praktycznie wszystko było na jej głowie, inni bowiem pracownicy znali się na tym odwrotnie proporcjonalnie do zajmowanych stanowisk. Kierownik z zawodu był inżynierem piekarnictwa i doskonale znał się na chlebie pszenno-żytnim, przeto wydawało mu się, że wszelkie inne umiejętności można osiąść przy okazji. Zastępczyni kierownika była doskonała w hodowli indyków wysokomięsnych i nawet robiła z tego doktorat pisząc pracę pod tytułem „wpływ słusznych przemian demokratycznych na gęstość upierzenia u okazów męskich i żeńskich”. Pozostali pracownicy mieli zagadnienie prasy opanowane o tyle, o ile ją czytali.

Pani Fluksjan wyrażała się o dyrektorze Kwasignacie tak powściągliwie, że zarówno O’Mlettowi jak i Charujowi wystarczyło to do postawienia minusa w bilansie jego zalet. W zasadzie nic nie wniosła do śledztwa, w każdym razie na pewno nie była poszukiwaną przez inspektora „kobietą Kwaszygnata”.

Następnym gościem była pani Sabinka. W rzeczywistości nazywała się Waleria Sabinka, ale wszyscy jakoś woleli mówić jej po nazwisku, bo na zdrobnienie Walercia reagowała pazurami. Podobno tylko dyrektor Kwassignat z upodobaniem mawiał do niej „pani Walerciu, niech no pani mi tu poda”, wobec czego policjanci bez namysłu wykreślili ją z listy podejrzanych o zażyłość, a wpisali do rejestru podejrzanych o wymyślne morderstwo.

Po wyjściu pani Sabinki O'Mlett zażyczył sobie wizyty damy, o której strażnik Krzyszczyżel wyraził się per „ta sikora z fynansowego”, czym wzbudził zainteresowanie komisarza. Sikorą okazała się dziewoja lat dwudziestu paru odziana w dżinsy i „kowbojki” na wysokich obcasach, a od góry we wszystkie klejnoty wschodu, jakich nie powstydziałaby się prezydencka choinka. Włosów miała bardzo dużo i to wielokolorowych, które spadały jej na oczy i musiała je co chwilę zdmuchiwać, przez co nie mogła, biduła, żadnego zdania wymówić bez przerywnika.

Popatrzyła na nich spod ułańskiego daszka zrobionego z rzęs i usiadła, udowadniając przy tym dobitnie, że ma na czym.

– W yaki sztosunki pani z dyrektor Kwasygnat? – wypalił O'Mlett bez pardonu.

– Ależ proszem pana...

- No? Pani pręko mówi!
- Nie było żadnych stosunków! Po ty kolacji w Viktorii to ja by-
łam troszkie zalana i poszłam do domu!
- Sama?
- Nie! Derektor kierowce wezwał i mię odwieźły!
- No a po tej drugiej kolacji? – spytał Charuj beznamiętnie, uda-
jąc, że coś czyta w papierach – była pani u dyrektora w domu?
- Co pan! Żeby mię ona zabiła?
- Kto?
- No, ona! Życia bym nie miała w biurze!
- O’Mlett spojrział znacząco na Charuja i uciął rozmowę jak sie-
kierą:
 - Topsze! Dzenkujem pani!
- Po wyjściu wampa z finansowego inspektor zatart ręce i powie-
dział do sierżanta z satysfakcją w głosie:
 - Wydzisz? Znaczi je w ten ofis! Znaczi Kwaszygnat nie kszonc!
 - Chyba nie zakonnik, bo z księdzem to bywa różnie.
- Komisarz pomyślał chwilę: – Yes, może bycz ksionc od Luter.
Kszonc od papesz musi sex szfenty!
- Charuj parsknął na krótko i poprawił: – Musi przestrzegać celi-
batu, tak?
 - Yes, psieszcze... pszyście... gacz celybuta!

Nie było po co szperać na ślepo, więc poprosili do siebie panią kadrową, Aurelię Paszczalwiak, którą poznali już podczas poprzedniej wizyty i zażądali pełnej listy zatrudnionych kobiet z podaniem wieku, stanowiska, stanu cywilnego, daty zatrudnienia i daty zwolnienia, jeżeli nastąpiło w czasie ostatnich dwóch lat. Pani Aurelia wysłuchała tego otwierając oczy coraz szerzej i zapytała, gdy wreszcie umilkli:

– A na kiedy?

– Natychmiast – powiedział Charuj ze zdziwieniem w głosie – przecież macie to wszystko w pamięci komputera.

– Tak, ale... – zaczęła niepewnie pani Paszczalwiak – ale pani Marzenka wyszła, bo dziecko...

– Co? Znowu zachorowało? – spytał sierżant.

– Nie, przyszło bo zgubiło klucze, a mąż właśnie...

– Fajn! – powiedział O'Mlett – pani Mazienka aut, a ta drugi pani?

– Pani Żanetka właśnie na chwileczkę do fryzjera...

– Do fryzjera na chwileczkę? – zaśmiał się Charuj całkiem końskim głosem, co do reszty speszyło panią Aurelię – to najmarniej trzy godziny! Ja też jestem żonaty, droga pani!

O'Mlett spojrział na panią kadrową bardzo surowo i trzepnął dłonią w biurko:

– Ya prosie lysta zara! Ziadny chwyleczke! Ci pani me rozumi?
Pani Paszczalwiak zsiniała – ja tak przecież nie mogę...

– Pani mozie! – policjant był bezlitosny – pani naduszy w kampiuter, pani da paper, on pysze! Ya prosie aut y robota! – tu komisarz wymownie wskazał palcem drzwi i trzymał go tak długo, aż pani Aurelia nie wyszła.

Po chwili na korytarzu rozległy się odgłosy bieganiny i przyciszonych kłótni. Nawet podkuta mysz nie przebierałaby łapami tak szybko, jak stukwały szpilki pani Aurelii i po dwudziestu minutach przed O'Mlettem i Charujem pojawił się potworek płci żeńskiej z włosiem stojącym na sztorc, przy czym średnica tej kuli pierza miała przynajmniej siedemdziesiąt centymetrów, i rzucił im na biurko wydruk komputerowy.

– Ya psipuściam, pani Zianetka? – słodko powiedział O'Mlett.

Potworek coś zawył i wybiegł. – Pewnie lakier jej schnie – domyślnie stwierdził sierżant i przysunął sobie papier przyniesiony przez potworka.

Lista zawierała sto siedem nazwisk, więc zabrali się do skreślenia. Najpierw wyrzucili wszystkie panie powyżej czterdziestki, później wszystkie mające co najmniej dwoje dzieci, wreszcie z pozostałych wyeliminowali panie zajmujące się sprzątaniami i pracujące na szczególnie podrzędnych stanowiskach. Pozosta-

to im dwadzieścia siedem nazwisk. Po naradzie zaryzykowali i usunęli mężatki, w wyniku czego pozostało im osiem pań. Tym postanowili przyrzeć się bliżej. Cztery z nich już mieli z głowy i właśnie zastanawiali się, którą z pozostałych czterech wziąć na pierwszy ogień, kiedy Charuj raptem rąbnął się dłonią w czoło, aż zagrzmiało:

– Psiamać, skąd ja znam to nazwisko?

– Pokasz!

– O, popatrz, ta tu. Gibulak Jolanta Marianna. Pracowała od dziewięćdziesiątego do dziewięćdziesiątego trzeciego, do sierpnia, na stanowisku kierownika informacji.

– A, ta? Ya pamentać... zara... Ooo! Ta fyrma, co kradzili stół z kompleta!

– Racja! Niefartowna trzynaście! I tę panią zmienił tu na stanowisku pan Jacek Maria Burek, pociotek prezesa!

– Yes! Siuka tera pani Gibulak! Dawa tu pręko pani od kadry!

Pani Aurelia przeleciała przez korytarz z tupotem szwadronu kawalerii. Na wieść o tym, że inspektor natychmiast potrzebuje dane personalne pani Jolanty Marianny Gibulak, zbladła jak wydruk komputerowy położony pod kwarcówką:

– Ale pani Żanetka...

– Prosie żadny cyrk! – krótko uciął O'Mlett.

Nie wiadomo, czy panią Żanetkę po raz drugi wywleczono za kudły od fryzjera, czy też zostały zastosowane inne formy przymusu bezpośredniego, dość że dane znalazły się po dziesięciu minutach. Wynikało z nich, że Jolanta Marianna Gibulak mieszka, albo przynajmniej mieszkała w Warszawie, przy ulicy Skoku Przez Płot dwadzieścia trzy, mieszkania jedenaście, ma telefon, jest córką Damazego i Korduli, urodziła się w sześćdziesiątym czwartym i nie jest, lub nie była zamężna. Miejscem urodzenia pani Gibulak nikt się widocznie nie zainteresował, jak i nazwiskiem panieńskim jej matki.

– Yak na kerownik od ynformacia, mao ynformacia! – stwierdził sucho O’Mlett i schował wydruk do kieszeni – to może bycz kobita od Kwazygnatu. Yak myśliś ty?

– Czemu nie. Ale co nam to da, jak ją nawet znajdziemy? Wątpię, żeby się tu wkradła nie zauważona i rozszarpała Kwasygnatowi gardziel!

– Pewno ne siarpaua, ale może kogo wi, co siarpie! Ne szedźym tu, yadżem do komenda.

– Najpierw muszę coś zjeść, nie będę śledził na głodnego, bo mi się szare komórki kurczą – stwierdził Charuj.

– Topsze. Ya hamburger i fryteky.

– Co się będziesz trocinami obżerał! Chodź, zjemy coś normalnie po polsku.

– Kauduny y baszcz? – spytał O’Mlett, filuternie przymykając oko – a psi kauduny pót galona polysz wodka? A potem tu deys cenzsko chori neboszczik? Ya Amerikan, no narkoman!

Wobec wyraźnego oporu przełożonego Charuj zgodził się na kupienie w samie czegokolwiek. Wskoczył z samochodu, złapał z półki jakąś puszkę, cztery bułki, litrową butelkę coli i zapłaciwszy za to wszystko po minucie był z powrotem. Colę wręczył O’Mlettowi, a resztę cisnął na siedzenie. Komisarz wziął puszkę do ręki i zaczął ją dokładnie oglądać.

– Ooo, paśtet s drobu! – powiedział odkrywczco – szkłat: menso wouowe, tuść wepśowy, buuka tarta, psiprawy, pepsz, glutamyn... gluta...mjan... psza koszcz, spożiwacz na żymno... – nagle zamyślił się i po chwili zapytał niepewnie: – ty, a laszego on je s drobu?

– Cholera go wie – odpowiedział sierżant, który nie zwrócił uwagi na to, co O’Mlett dotychczas sylabizował – może kurzy, gęsi albo z indyka!

– Tuść wepśowy z indyka?

– Cooo? – zdziwił się Charuj, złapał za puszkę i zaczął czytać.

– Ty uważa na strit! Ya ne chcem w śpitała!

– Okej! Chciałeś amerykańskie jedzenie, to masz, tylko że u was napisaliby pewnie, że to indyk, a u nas są uczciwsi i piszą prawdę! No i co? Nie będziesz tego jadł?

– Bedem – z rezygnacją odrzekł komisarz – me wśisko jedno, ot ącego ya neboszczik, ot twoje kerowanie czy ot paśtet!

Ledwie pojawili się w komendzie, gdy powiadomiono ich o tym, że pilnie poszukuje ich inspektor. Pasztet z drobiu i bułki powędrowały do szuflady biurka, a komisarz z sierżantem stawili się w sekretariacie szefa.

– Jak macie jakieś przyłbice, to włóżcie – powiedziała sekretarka półgłosem i ponuro, co nie zdziwiło Charuja, bo wiedział, że wydobycie z niej uśmiechu graniczy z trudnością przymusowej pracy w kamieniołomie.

Inspektor Strzypiur popatrzył na nich niesmacznie i westchnąwszy rozpoczął:

– Wiecie, rozumiecie, to już trochę za długo trwa! Piąty dzień śledztwa kończy się, a panowie nie mają wyników! Prokurator się denerwuje, nawet nie wystąpiliście o zarzut przeciwko temu strażnikowi, znaczy, wiecie, rozumiecie, ja muszę wiedzieć, w jakim stadium sprawa się znajduje, bo mam naciski z zewnątrz i prokurator też ma! To w końcu nie był bezdomny lump zaciukany pod śmietnikiem tylko człowiek na stanowisku! Ja tak, wiecie, rozumiecie, nie mogę!

– Przecież pan inspektor mówił, że mamy spokojnie prowadzić, bo to rutyna – przypomniał Charuj.

– Mówiłem? Możliwe, ale teraz sytuacja się zmieniła! Wiecie, rozumiecie, są naciski...

– A jaki naczykuje? – spytał O'Mlett.

– Znaczy, kto? No, wiecie, osoby, rozumiecie sami, bo to już za długo trwa!

Wynikało z wypowiedzi inspektora, że ktoś ważny chciałby znać zabójcę i nie miałby nic przeciwko temu, aby się nim okazał właśnie strażnik. Inspektor wyraźnie nie chciał powiedzieć, kim jest ten ktoś, choć wiedza o tym mogłaby dla nich stanowić jakiś element układanki. Widocznie ten ktoś stał tak wysoko, że mógł sobie pozwolić na incognito, a to też był jakiś ślad.

Charuj, rozważywszy to wszystko błyskawicznie, doszedł do wniosku, że na razie niczego się od inspektora nie dowie, więc zmienił temat i przedstawił mu krótko dotychczasowe ustalenia.

– Znaczy, panowie nic nie wiecie! – podsumował to Strzypiur niechętnie – ja proszę przyspieszyć! Proszę żądać sił i środków i przyspieszyć!

Gdy wyszli i znaleźli się znów w swoim pokoju, sierżant stanął twarzą do okna i zagłębił się w myślach. O'Mlett przez ten czas otworzył puszkę z pasztetem przy pomocy scyzoryka i po minucie rzekł z pełnymi ustami:

– Je ofiar, muszy bycz, co roby morda! Ne ma onego – źle! Ale to czeba żadny poszpech, może czeba meszonc, abo rok!

– Jemu to powiedz – odrzekł Charuj ponuro – on musi mieć wyniki i już! Statystykę mu kładziemy, kapujesz? Wykrywalność mu spada i nie popuści nam, póki mu jakiegoś kozła nie damy!

– Koźua? Znaczi, co znaczi koźua?

– No, faceta, przeciwko któremu można w tej sprawie sklecić jakieś dowody. Prokurator postawi zarzut i będzie się z tym babrać, zwracał nam do uzupełnienia i zrobi się ping-pong, ale to już dal-sza procedura. Na dzisiaj wyniki są? Są!

– Ale to ne profesjonalny robota!

– Pewnie, że nie, ale sam nam podsunął tego strażnika. No, bo popatrz: załóżmy, strażnik siedzi, śledztwo leci i jest co powiedzieć prasie. A że później okaże się, że to nie on? Możliwe, ale poszlaki były!

– I ty chceś, żeby ya tak roby?

– Pewnie, że nie chcę! I stary też nie chce, ale go duszą i nie ma wyjścia, więc nas goni! Musieli go zdrowo podkręcić, jeżeli daje nam siły i środki, czyli to, czego sam nie ma!

– To ya myszli: on gony, a my tysz gony, ale ne parso pręko!

– Cudownie to ująłeś – uśmiechnął się Charuj.

Pół godziny później Wygruzalik przywiózł protokół z sekcji. Długi był na parę stron, ale wnioski dały się ująć w jednym zdaniu: wiem, że nic nie wiem! Na zwłokach śladów walki i aktywnej obrony nie było, rana szarpana szyi z rozerwaniem tętnicy szyjnej prawej, we krwi 2,87 promila alkoholu, narządy w granicach normy, bez szczególnych zmian patologicznych, czyli, krótko mówiąc, kompletna plaża dowodowa! Dosłownie o nic nie można było zaczepić się jakąś poszlaką! Rana zadana narzędziem wielo- i tępokrawędziastym, miażdżącym, śmierć z wykrwawienia i kropka!

– Kolera, cim go ścipie on, znaczy zabu... zabujec?

– Zabójca – poprawił Charuj – mówisz, że szczypie? Rzeczywiście na to wygląda, ale szczypać to można kelnerkę i na ogół od tego się nie umiera!

Pracownia daktyloskopijna też nie poprawiła im humorów, bo znalazła całą kupę linii papilarnych, ale wszystkie były przykryte liniami Kwasignata, a na szczęce były tylko jego, zarówno jak na butelce po wódce i dwóch szklankach leżących pod stolikiem telewizyjnym. W jednej ze szklanek nie było zresztą śladu alkoholu i miała wyszczerbiony brzeg, więc denat najprawdopodobniej odrzucił ją jako bezużyteczną.

– Nikt mnie nie przekona, że ten strażnik Krzyszczyżel wlaźł do gabinetu dyrektora, przed którym normalnie stawał na baczność,

i wyrwał mu pazurami, albo czym innym, kawał szyi! Do tego jeszcze nie zostawił śladów linii papilarnych, bo taki z niego wyrafinowany morderca na zamówienie, a później usiadł w hallu, zrobił sobie herbatkę i gapił się na wybory w telewizji! – Wypalił nagle Charuj, wałąc dłonią w blat biurka dla podkreślenia wagi wypowiedzi – nie uwierzę w taki kit! Za dużo łobuzów w życiu widziałem! Prokurator też nie uwierzy!

– Topsy, jedziemy śiuka ta pani Gibulak – spokojnie stwierdził O'Mlett – po mojemu teś on cisty yak łoza!

– Jak łoza – automatycznie poprawił sierżant i włożył szelki z kaburą – łoza, to takie małe krzaczkki nad wodą.

– Co je kszaćki?

– Takie małe krzaki, zarośla.

– Zarosła? Laszego?

– O czym ty mówisz, komisarzu – zaniepokoił się Charuj – zarośla, to wszystko, co rośnie, takie małe, skłębione, dzikie!

– Dżykje też?

– Co też?

– No, w te kszaćki! Kojoty, dzikie, żajoncy, ya wem co jeszcze?

– Neeee! To rośliny! Takie badyle z liśćmi, rosną nad wodą!

– Aha!

Ulica Skoku Przez Płot znajdowała się w dzielnicy peryferyjnej i miała ze dwieście metrów długości. Po jednej stronie rosły jakieś nieokreślone krzaki, a za nimi było pole, zaś po drugiej stronie stały bloki mieszkalne. Wszystkie były wzdłuż, tylko jeden w poprzek, i właśnie ten w poprzek nosił numer dwadzieścia trzy. Mieszkanie numer 11 mieściło się w drugiej z kolei klatce schodowej, w wejściu do której znajdował się domofon.

Zadzwonili. Po kilkudziesięciosekundowym oczekiwaniu ozwał się kobiecy głos: – Słucham?

– Do pani Jolanty Gibulak – słodkim barytonem powiedział Charuj.

– Nia ma!

– A kiedy wróci? Mamy ważną sprawę służbową.

– Ja tam nie wiem!

– Proszę pani – powiedział sierżant – jesteśmy z policji. Wydarzyło się nieszczęście i musimy rozmawiać z panią Gibulak, albo wiedzieć przynajmniej, gdzie jej szukać.

– A jakie nieszczęście? – spytał przerażony głos.

– Przecież nie pani Gibulak, skoro chcemy z nią rozmawiać.

– Córka wyjechała.

– Dawno temu?

– A będzie już więcej jak miesiąc.

- A dokąd wyjechała?
- Nie mówiła. Za interesamy!
- A może zna pani pana Benona Kwasignata?
- Zięcia? Pewnie, że znam!
- To może niech nas pani lepiej wpuści, bo to o niego chodzi!

Zadźwięczał brzęczyk i weszli. Mieszkanie było na pierwszym piętrze. Starsza kobieta przez łańcuch obejrzała legitymacje i twarze przybyłych, i po minutowym wahaniu zdecydowała się otworzyć. Stanęli w przedpokoju i grzecznie czekali, aż ich zaprosi głębiej, ale ona stanęła w drzwiach do dalszych pokoi i powiedziała dość lekceważąco:

– Zięcia tyż nie ma, ale możemy se porozmawiać. Po co wama potrzebny? Jakby od niego jaki minister co chciał, to by przedzwonił albo faksa wysłał, a wam on po cholere?

– Pan Benon Kwasignat nie żyje – ponuro powiedział Charuj – właśnie dlatego chcieliśmy rozmawiać z panią Gibulak. Myśleli, że kobieta zareaguje emocjonalnie i Charuj nawet zaczął żałować, że przedstawił sprawę tak bez ogródek, ale ona wsparła się pod boki:

- Patrzajta, ludzie! To i na niego przyszło? A co? Samochodem się gdzieś po pijaku stuknął, czy mu może w lokalu kosę posunęli?
- Nie, zmarł u siebie w pracy.

– W pracy? A to dobrze! Ja nie będę za pogrzeb płacić, a córka tak zara nie wróci!

– A to mieszkanie to jego?

– Skąd! Córki! A bo to on co swojego miał?

– A ślub z pani córką?

– A gdzie tam! Na kociom łape żyli! Na bilet miesięczny!

– Znaczi, pani ne luby żenć, czyli pan Kwazygnat? – wtrącił się O'Mlett – to spowodą, że na ape koczom?

Kobieta wyfuszyla oczy: – co proszę?

– Kocza apa daye powodu do nielubenie? – spokojnie powtórzył komisarz.

– A pan co, za przeproszeniem Mongoł czy inszy kacap?

– No, polsky Amerykan...nin. Ale pani pręko mówy o nelubenie do Kwazygnat.

– A co mam mówić! Jedne lubię jak chłop popije po robocie, ale ja nie mam życzenia, żeby mi kto od kurwów za niewinność wymyślał!

– Widzi pani – powiedział Charuj – może lepiej niech nam pani powie, dokąd wyjechała pani córka. I tak ją znajdziemy, tyle że dłużej potrwa, choćby nawet do Ameryki wyjechała, sama pani widzi, że to dla nas mały przyszcz.

– A co jej zrobita, jak znajdzieta?

– Nic. Jak nam pani powie, to zadamy tylko parę pytań.

Teściowa myślała przez chwilę. – No, dobra! – rzekła wreszcie z nutką rezygnacji – w zakonie jest.

– Gdzie? – spytał sierżant, nie dając poznać po sobie, jak go zaskoczyła ta odpowiedź.

– U siostr pod Lidzbarkiem, ale detalicznie nie wiem, gdzie! No, jak Boga Kocham, że nie wiem!

– Parso pani dziękuję – powiedział O’Mlett, pochylił się i pocałował ją w rękę, czym niepomrotnie zadziwił Charuja.

Opuściwszy blok przy Skoku Przez Płot dwadzieścia trzy wsiedli do samochodu i tam komisarz zainteresował się nagle:

– Ty sucha! A co to je ta koczy apa?

– Kocia łapa – poprawił sierżant – to jest, rozumiesz życie ze sobą bez ślubu, konkubinat, kapujesz?

– A jak kto nie w koszczoł szlubi, tylko w ofis?

– Dawniej było wszystko jedno, ale teraz to też jest kocia łapa, czyli tak zwane małżeństwo kontraktowe. Kościół tego nie uznaje, bo to ciężki grzech!

– Aha! Znaczy czy czfarte Amerika roby cenzski gżech?

– Tak. Trzy czwarte Europejczyków też.

– Aha. Ja rozume. A jak kobita szpy z jaky kszonc, to tysz cenzski gżech?

– Pewnie! Grzeszy nawet wtedy, gdy śpi z własnym mężem! Nie ma grzechu tylko jak zajdzie w ciążę i urodzi.

– Fajn. Znaczi czowek ne może bycz czowek, bo jak on czowek, to zara cenzski gźech!

– Ty nie patrz na to logicznie – powiedział Charuj – to nie logika tylko religia! I przestań się nad tym zastanawiać, bo ci to zaszkodzi. Zaraz musimy złożyć wizytę jakiemuś ważnemu księdzu, więc żebyś czasem z czymś takim nie wyskoczył!

– A po kolerem kszendzu?

– A skąd się dowiesz, co to za zakon pod tym Lidzbarkiem, gdzie to jest i czy się tam w ogóle puszcza?

Księdza kapelana Rzucaka szczęśliwie zastali, musieli tylko poczekać minutkę, która trwała półtorej godziny, bo ksiądz akurat poświęcał transport nowych pałek i karetkę więzienną, która wróciła z remontu. Zapytany o żeński zakon pod Lidzbarkiem, chciał najpierw wiedzieć, po co im ta informacja i co zamierzają tam robić. Poinformowany z grubsza o przebiegu śledztwa, wyraził pogląd, że Kwasignata ukatrupiły skomlące kundelki, w związku z czym on chętnie przyłoży pasterskiej ręki do obnażenia nędznych poczyną głośniciele filozofii śmierci. Wyjawił im, że zgromadzenie sióstr Kleofasek od świętego Pafnucego ma swój dom w Parzykłakach koło Lidzbarka Warmińskiego i polecił siostrze-sekretarce napisać krót-

ki list polecający do matki przełożonej, który bez zwłoki podpisał, pozostawiając kopię w aktach.

Na zakończenie wizyty O'Mlett o mały włos nie strzelił gafy mówiąc o konkubinie Kwasignata, ale szczęśliwie Charuj zdołał naprawić sytuację tłumacząc wypowiedź kolegi nie dość dobrą znajomością języka polskiego.

Gdy, pobłogosławieni, wyszli z siedziby kapelana, komisarz mając jeszcze szeroko otwarte oczy, zapytał niepewnie:

– Sorry, szkomloncy kundelky to kto?

– Tacy jak ja i moi rodacy. Ty jesteś rasowy pies! – odrzekł Charuj prawie poważnie.

Za późno było, aby dzisiaj jechać do tego Lidzbarka, więc odłożyli wyprawę na jutro. Na sugestię O'Mletta, że może inspektor da im śmigłowiec, sierżant parsknął śmiechem:

– To z powodu tych środków, co ci ich podobno wolno żądać? Człowieku! Zejdz na ziemię, bo ci spuchną skrzydła!

Ranek był mglisty ale bez deszczu, więc wyjechali o późnym listopadowym świcie drogą na Gdańsk. Autostrada skończyła się przed Płońskiem, a pogoda poprawiła na tyle, że nawet wyrzało słońce, więc Charuj prowadził pewnie ale niezbyt szybko, nie przejmując się poganianiem przez różnych nietykalnych w najnowszych modelach audi. Po czterech godzinach byli w Lidzbarku i skręcili na

zachód, aby po kilkunastu kilometrach zobaczyć porzewiałą tablicę z czarnym napisem Parzytki. Pierwsza babina spotkana na drodze pokazała im stojącą na wzgórku potężną budowlę z czerwonej cegły, wjazd do której opatrzony był bardzo starą i pogiętą tabliczką z napisem „Państwowy Dom Dziecka w Parzytkach”. Podjechali pod bramę, na której nie było żadnego napisu i Charuj przycisnął biały guzik dzwonka.

Czekając na otwarcie O'Mlett ciekawie rozglądał się po okolicy otaczającej budowlę, która swoim wyglądem bardziej przypominała więzienie niż obiekt mieszkalny przeznaczony dla ludzi żyjących w zgodzie z prawem. Ceglany portal był monumentalny, gotycki, a osadzone w nim wrota solidnie okute żelaznymi ćwiekami. We wrotach była furtka, a w furtce, na wysokości serca komisarza, niewielki wizjer wielkości dwóch dłoni. Na prawo i lewo ciągnął się potężny mur zwieńczony blankami krytymi dachówką, podziurawionymi gdzieniegdzie i połatany wstawkami z pustaków.

Po dobrych paru minutach wizjer otworzył się do środka i ukazała się w nim twarz kobieca z oczami niespokojnie biegającymi we wszystkie strony. Po chwilowym oczopląsie spojrzenie patrzącej skoncentrowało się na przybyłych i tak trwało dopóty, dopóki Charuj nie powiedział niezbyt pewnie, nie wiedział bowiem jaki rodzaj powitania jest tu przyjęty:

– Dzień dobry.

Oczy zamknęły się na ułamek sekundy i otworzyły znowu.

– Mamy list do matki przełożonej.

Oczy wykonały ten sam manewr, a przed twarzą ukazała się ręka skierowana otwartą dłońią do góry. Sierżant położył na niej pismo od księdza Rzucaka, dłoń z listem cofnęła się, a wizjer zamknął się z trzaskiem.

Aczkolwiek logicznym następstwem powinno być teraz otwarcie furtki, to jednak nic takiego nie nastąpiło. Po dalszych kilku minutach oczekiwania O'Mlett powiedział ze zdziwieniem w głosie:

– Nie otworzom? Zakon u was tysz top sekret?

– Zobaczymy – mruknął Charuj – może otworzą, jak przeczytają.

– A to było po łączynie?

– Nie. A bo co?

– Bo po polsky ne usłyszely my ani jedne suowo! Może cza dzen topry mówycz po łączynie?

Charuj parsknął krótkim śmiechem i znów stali tak pod tą bramą czekając, aż wewnątrz jakiegoś kolegium zdecyduje, czy im otworzyć czy nie.

Po pewnym czasie wizjer w furtce otworzył się znowu i ukazała się w nim inna twarz, też damska.

– Panowie sobie życzą?

– Chcieliśmy rozmawiać z panią Jolantą Gibulak.

– W nowicjacie takiej nie ma!

– Nie wiem, czy ma być akurat w nowicjacie – odrzekł Charuj – przyjechała tu z Warszawy mniej więcej miesiąc temu.

Twarz cofnęła się, ale wizjer pozostał otwarty. Po kilkunastu sekundach oblicze ukazało się znowu.

– Niech panowie zajdą tam od tyłu, z drugiej strony. Może tam taka jest!

Okienko zatrzasnęło się i obaj policjanci zostali w przekonaniu, że tym razem to już definitywnie, ruszyli więc wzdłuż muru, za najbliższy róg i po chwili znaleźli się na zapleczu obiektu. Tam okazało się, że mur przeradza się w budynek, do którego wiodą drzwi, przy których wisi osiem tabliczek firmowych o różnorodnej treści.

– Ooo, ty paczy – powiedział O'Mlett zagłębiwszy się w lekturę – to je taky zakonny byznes senter! Ja myszly, że koszczół je od dusia, ne od marketing, znaczy ja źle myszly!

Charuj nie odpowiedział, tylko nacisnął klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. W pobliżu nie było przycisku od żadnego dzwonka, więc zabrał się do pukania. Wpierw czynił to delikatnie, zgiętym palcem, ale po minucie, przy całkowitym braku reakcji od wewnątrz, zaczął walić pięścią.

– Koszcielny byznes tyisz top sekret! – skomentował to O’Mlett, przyglądając się z zainteresowaniem wysiłkom sierżanta.

Po pewnym czasie intensywnego pukania dało się słyszeć odsuwanie jakichś zasów i drzwi uchyliły się tworząc szparę szerokości dziesięciu centymetrów.

– Do kogo? – spytał piskliwy głos od wewnątrz.

– Dzień dobry. Poszukujemy pani Jolanty Gibulak!

– A w jakiej sprawie?

– To już powiemy jej samej – odrzekł Charuj usiłując dojrzeć rozmówczynię przez szparę w drzwiach.

– Bo jeżeli z dostawą, to trzeba chwilkę zaczekać – ozwał się głos i drzwi zamknęły się znowu.

– Kolera cenzka – mruknął O’Mlett.

– Przynajmniej wiadomo, że jest, skoro pytają, w jakiej sprawie – odrzekł sierżant.

Drzwi uchyliły się powtórnie dokładnie po siedemnastu minutach, szpara tym razem miała piętnaście centymetrów i ukazało się w niej pół damskiej twarzy.

– Wy do mnie? Towar miał być po południu!

– Czy pani Jolanta Gibulak? – spytał Charuj najłagodniejszym głosem, na jaki było go stać.

– No ja! A bo co?

– Chcieliśmy chwilkę porozmawiać. Jesteśmy z policji.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, a zza nich zaczęły dochodzić jakieś przyciszone głosy.

– Ty leczy do główna brama! Mać uoki-toki?

– Mam! – Charuj pobiegł z powrotem, ale drugą stroną budynku, aby sprawdzić przy okazji, czy nie ma tam jakiegoś trzeciego wejścia, przez które pani Gibulak mogłaby niepostrzeżenie zejść im z oczu. Uświadomił sobie po drodze, że ona nie musi nigdzie uciekać, bo przecież nie wejdą do tej fortecy, a poza tym nie mają nakazu, więc wszelkie usiłowania byłyby bezprawne.

O'Mlett sterczał pod drzwiami i czekał. Po następnych pięciu minutach drzwi uchyliły się trochę szerzej i kobieta zaprosiła go do środka:

– Panowie wejdą!

– Ja wchodzę, ty comeback! – powiedział O'Mlett do mikrofonu i wszedł. Już w drzwiach usłyszał w aparacie trzask i głos „okej”, więc wyłączył radiotelefon.

Wnętrze było ciemne jak grób rodzinny w noc bezksiężycową. Po chwili otworzyły się jakieś drzwi w korytarzu i komisarz wszedł do pokoju zarzuconego jakimś paczkami i ciuchami, z których unosił się kwaśny zapach brudu. Kobieta, która stała przed nim, miała około trzydziestu lat, wyzywającą urodę piękności z przed-

mieścia, krótkie spodnie do pół uda, czerwone rajstopy i szpilki na nogach.

– Czego ode mnie chcecie? – spytała agresywnie.

O'Mlett, który z rozmową wolałby zaczekać na Charuja, usiłował ułożyć sobie w głowie jakieś w miarę zrozumiałe zdanie.

– Ja proszę rozmowa o Benon Kwaszygnat – powiedział w końcu, bo uznał, że tą wypowiedzią najmniej ryzykuje – zara wchodzi moja kolega!

Dama z lekka rozdziawiła intensywnie pomalowane usteczka i stała bez ruchu, ale po chwili, szczęśliwie, rozległo się pukanie Charuja. O'Mlett zrobił kilka kroków i wpuścił go, a gdy wrócili do pokoju z ciuchami, pani Gibulak dalej stała w tej samej pozycji.

– Pani zije z pan Benon Kwaszygnat – bardziej stwierdził niż zapytał O'Mlett.

– A co? Jest ustawa, że nie wolno?

– Nie – powiedział sierżant przejmując inicjatywę – ale mamy dla pani przykrą wiadomość...

– Co? Posadziliście go? – spytała dama z półuśmiechem.

Charuj przestał jej żałować. – Nie żyje, proszę pani! – powiedział dość twardo i czujnie czekał na reakcję z jej strony, która wszakże okazała się nietypowa, jak wszystko w tej sprawie:

– Co? Zawału dostał po wyborach?

– Nie. Zginął śmiercią gwałtowną, prawdopodobnie zamordowany!

– Znaczy, ktoś mu się przysłużył?

– Na to wygląda!

– No dobra, ale co wy ode mnie chcecie?

– Chcemy wiedzieć, co robiła pani w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego listopada.

– Tu siedziałam, znaczy, w klasztorze! Wszystkie siostry mogą poświadczyć!

O'Mlett postanowił sprawdzić tę informację, więc powiedział do Charuja półgębkiem – Ja ydem gadacz z szostry, ty tu rozmawacz z pani Gibulak, okej? – powiedziawszy to wyszedł na ciemny korytarz i skierował się nim w stronę przeciwną od wyjścia. Okazało się, że dobrze trafił, bo po otwarciu drzwi na końcu tego korytarza znalazł się na klasztornym podwórku i natychmiast otoczyły go trzy zakonnice:

– Czego pan tu szuka?

– Ja chcem mówycz z pani matka! – wyjaśnił im zwięźle – ja z polycji – dodał wyciągając legitymację.

Habity zakotłowały się i nie minęło pół minuty, jak policjant znalazł się oko w oko z przeoryszą. Ta stanęła przed nim, wsadziwszy

dłonie w rękawy na wydatnym brzuchu i spojrzęła nań srogo spod zmarszczonej brwi:

– Tu mężczyznom wchodzić nie wolno! Przejdźmy do rozmównicy!

O'Mlett rzucił okiem na podwórzec, w rogu którego jakiś facet wyładowywał coś z furmanki. Przełożona zauważyła widocznie jego spojrzenie, bo powiedziała sucho:

– To nasz ogrodnik.

– Ja rozumiem, ogrodnik to nie mężczyzna. Polycjant tyś!

– No więc słucham pana! – rzuciła ze zniecierpliwieniem przełożona.

– Okej. Co robisz pani Gibulak dziewiętnasty i dwadzieścia pierwszy listopad... znaczy listopad?

– Od chwili przyjazdu, znaczy od miesiąca nie opuszczała klasztoru! – bez namysłu wypaliła przeorysza.

– Aha. Znaczą pani wy, kto jest pani Gibulak? Jednym gożynie nazwał pani nie wy, teraz pani wy! Tępsze! Znaczą ona siedzi tu?

– Nie wiem, o co panu chodzi – powiedziała nieco zmieszana matka przełożona – Joasia... znaczy pani Gibulak nie wychodziła stąd od połowy października!

– Tępsze! Ja parso pani dziękuję! Ja wiem, że pani mówisz czystą prawdę, tak? To proszę, pani to powtórz, żeby ja lepszy pament!

– No, o ile mi wiadomo, to nie wychodziła z klasztoru od swego przyjazdu – powtórzyła przełożona, ale dużo ciszej.

– O ile wiadomo? Znaczi, wiadomo czy nie wiadomo?

– Wiadomo! Nie wychodziła! – krzyknęła przełożona ze złością.

– Ooo, jak ulżyło mi na serce. Parso pani dżenkujem!

Po skończonej rozmowie O’Mlett wrócił tą samą drogą, którą wszedł. W pokoju przy korytarzu sierżant kończył już rozmowę z panią Gibulak. – Idziemy – powiedział do komisarza, gdy ten tylko wszedł.

– Okej, ydżemy!

Po chwili znaleźli się w samochodzie, którego nikt szczęśliwie nie ukraść spod bramy. – Jadżem co zjeszcz – stwierdził O’Mlett – ja widżem klasztor, to ja mam w bżuchu post!

Znaleźli jakąś gospodę na rozstaju dróg, zaparkowali i weszli. Wewnątrz było dość czysto, tylko nad bufetem roiło się od reklam, wśród których nie było ani jednej polecającej jakiś produkt rodzimego pochodzenia. Usiedli pod oknem, a obok nich prawie natychmiast pojawiła się kelnerka.

– Dostaniemy coś na ciepło? – spytał sierżant.

– Ma się rozumieć! Hamburgery, pizza, hotdogi, spaghetti...

– A czegoś polskiego nie ma?

– Jest! Wyborowa, jarzębiak, żubrówka, koszerna, polonez...

– Ale z dań?

– Może być śledzik w oliwie – po namyśle odpowiedziała kelnerka i roześmiała się w ramach rekompensaty.

– Psza koszcz – powiedział O’Mlett – hamburger y pycca to ja mogem w Chicago! No, może bycz spaghetti.

– To ja też – westchnął Charuj.

W czasie, kiedy przedwczorajszy makaron odgrzewał się w mikrofalówce, Charuj przedstawił O’Mlettowi przebieg rozmowy z panią Gibulak.

– Otóż, wyobraź sobie, spotkali się wówczas, gdy Kwasignat został rekomendowany na stanowisko dyrektora. I z miejsca przypadli sobie do gustu!

– Yes, to wynyk!

– Czego wynyk?

– No, boks, ring, tu buls w jeden cias, w jeden mieysc! Muszy bycz wynyk! Nokaut or... albo myłoszcz!

– Filozof z ciebie, komisarzy!

– No, żadne fylozof, to źicze! No co jeszczy?

– No, więc spotkali się. Ona były popychłem w kancelarii, ale miała technikum odzieżowe, więc krok za krokiem, zrobił ją kierownikiem biura informacji. Dorobił jej życiorys kombatanta w rozklejaniu ulotek i jakoś mu to uznali! Jak przyszło co do czego i zaczęli mieszkać razem, to okazało się, że z niego wylazł damski bokser...

– Czo je damsky bokser?

– Facet, co tłucze baby! Jak boi się kogo innego, to żonę!

– Yes, strąśny kauboy! Rambo dla rodzyna, ja rozume! No i co?

– Miała go dość, odeszła z pracy i założyła firmę, żeby się uniezależnić, ale popołudniami i tak byli razem. On się nie mógł ożenić, ją krew zalewała, w końcu, jak firmę jej szlag trafił, bo zrobiła się niewyplacalna, to przez znajomych tu i ówdzie załatwił jej ten klasztor, czyli firmę w klasztorze. Kapujesz?

– Yes. Kapujem.

– Ale najważniejsze! Kwasignat bał się jak ognia zmiany elity rządzącej, bo w tych warunkach okazałoby się, co on jest rzeczywiście wart! Kojarzysz? Normalność, to dla niego zabójstwo!

– Czo to je normalnoszcz? Rez te, raz tamte. Demokraczja!

– To w Stanach, ale nie tu! Tu tylko jedna strona ma zawsze rację, a druga jest zawsze do bani! Od dziewięćdziesiątego roku zawsze mieli rację koledzy Kwasignata, a tu raptem klops! Kapujesz? Skończył się monopol na rację, a druga strona ma takie same odbicia, czyli też będzie miała rację z urzędu. Tego się tak łatwo nie da wykorzenić!

– Ja cita, że u dżyki w sam szrodek Papua nowa król ji stara król, znaczki kaczik, znaczki prezident. Poland yt ys Koszcaśko, Pulasky, no Papua. Ty ne mówy gupota! Yes?

– Przepraszam, że cię dźgnąłem w twoje korzenie!

– Fajn. No problem.

Przyniesiono spaghetti. Było nędzne, bezmięsne i prawie suche, bo widocznie właściciel oszczędzał na tłuszczu. Zaczęli to jeść z odrazą popijając herbatką, bo kawa też okazała się kwaśna i zeszoroczna. O'Mlett żuł makarony, jak by były z plastiku i udawał, że są jadalne. Kelnerka podeszła, by zapytać, co jeszcze.

– A w tym domu z cegły to co było? – zapytał Charuj nie licząc na odpowiedź.

– Dom dziecka. Sierotki różne tu byli – odpowiedziała kelnerka, chętna widocznie do konwersacji.

– A teraz jest zakon?

– To od dziewięćdziesiątego drugiego. Wyrzucili dom dziecka, a dali budynek tym siostron, co tera go majom!

– Kto dał?

– Wiadomo! Gmina!

– Dlaczego?

– A bo ja wiem? To dawny zamek krzyżacki, czyli należał do zakonu, nie? No to tera, jak nastąpiła nowa władza, to uznali, że też ma być tam zakon, żeby było sprawiedliwie!

– A te dzieci z domu dziecka gdzie poszły?

– A różnie! Niektóre do Gdańska, niektóre do Olsztyna.

O'Mlett. który słuchał uważnie tej dyskusji, wtrącił się nagle:
– To jak dzieci, to nie sprawiedliwy, a jak szorsty, to sprawiedliwy? A ony tyś majom szerocynec?

– Nie, skąd!

– No to masz demokrację – powiedział Charuj z goryczą – liczy się ten, co akurat ma rację, a ty mi opowiadasz bajeczki o Papuasach. Ciekawe, czy Kwasignat w tej gminie też miał przyjaciół.

– Co sze pekłyć, kujus regio, ejus religio! To parso stari powedzenie, ważne w każdy land! Cije żondy, onego church... znaczy wara koszczelny! Yes?... znać onego dżastis... sprawedliwoszcz bosky!

– A ty skąd znasz łacinę?

O'Mlett roześmiał się serdecznie – A ty szkond, że me rozumiesz?

– Zrozumiałeś – poprawił Charuj – Słyszałem. Jakiś senator to powiedział w telewizji, a ty skąd?

– Ja? Mi powedzał jedna kolega, czo bił w Iran!

Zjedli, zapłacili i wyszli. Nie było czego szukać w tych Parzykłkach, więc wsiedli w mazdę i pojechali do Warszawy. Na szosie trwała widocznie jakaś akcja policyjna, bo drogówka zatrzymywała samochody, ale tylko małe i wolne. Szybkich nie czepiali się, pewnie dlatego, że i tak nie mogliby ich dogonić. Ich zatrzymali, ale jak Charuj pokazał legitymację przez szybę, to przystawili mu kałasznikowa

do głowy i kazali wysiąść. O'Mlett patrzył na to, jak na dobry cyrk, ale zmienił zdanie, gdy i jemu kazano wysiąść, położono na masce i zawartość kieszeni wyrzucono na asfalt. Fakt, że mieli broń, była okolicznością obciążającą, legitymacje też ich nie ratowały, bo takie same można było kupić na bazarze. Charuj zdążył szepnąć O'Mlettowi – nie odzywaj się – bo język komisarza mógłby wywołać jedynie dodatkowe kłopoty, a i tak sytuacja nie przedstawiała się różowo.

W czasie, gdy ich obmacywano, przejechało obok przynajmniej dwadzieścia tojot, mercedesów z pancernymi szybami i innych wozów wysokiej klasy. W połowie z nich bez wątpienia policjanci znaleźliby bogatszy łup, ale liczył się wróbel w garści, a nie gołąb na dachu. Posadzono ich w radiowozie i kazano czekać, a gdy ich wsadzano, O'Mlett szepnął coś, co brzmiało jak „ya kochacz dżyke Papuasy!”, ale Charuj nie prosił o powtórzenie wypowiedzi. Puszczono ich po godzinie.

– Co to znaczy? – spytał O'Mlett, gdy w końcu wyprysnęli z pułapki.

– Spoko, kolego – odrzekł sierżant – pewnie jakaś szyszka jedzie do Gdańska albo stamtąd wraca. Normalka! Za komuny różne tuzy chodziły bez ochrony, a teraz byle bubek musi mieć dziesięciu goryli, żeby mu ukochany elektorat girów nie poprzetrzącał, oczywiście z nadmiaru miłości!

Do Warszawy dojechali już bez specjalnych przygód, nie licząc usiłowania zatrzymania ich przez patrol drogowych przebiegaczy. Tym razem Charuj wystawił przez szybę nie legitymację lecz dyskretnie przykrytą dłonią lufę P-83. Rzekomi policjanci wycofali się udając, że nie o ten samochód im chodziło i cała sprawa zakończyła się bezboleśnie.

– A te też byli simpansy? – spytał O’Mlett.

– Goryle – poprawił Charuj – cholera ich wie, możliwe, że mafia albo jakaś samodzielna grupa pod wezwaniem świętego Merkuriego.

– Laszego Merkiurego?

– Bo to był taki bożek od złodziei. Nie wiedziacieś?

– Ja myszlem, że od handla.

– Od handlu też. Teraz w Polsce to właściwie na jedno czasami wychodzi. To podobno jakiś wasz milioner powiedział, że jak się robi duży biznes, to pierwszy milion trzeba ukraść!

– Yes – po minutowym namyśle powiedział O’Mlett – Ja ne ukraszcz mylion y ja bidny czowek! Ja ne zna bogaty poulisjant!

– To u was sami święci w tym FBI? A nie ma przecież ani jednego amerykańskiego filmu, w którym nie występowałby jakiś skorpumpowany gliniarz!

– A w polsky filmy same ważne bojownyki i bohaterzy i co? To tyś prawda?

Charuj parsknął śmiechem – tys prowda – powiedział po góralsku – jakby ktoś nakręcił film o takim Kwsignacie, to okazałoby się, że to drugi Kościuszko co najmniej. U nas, bracie, zwyczajnych ludzi prawie nie ma, tylko męczennicy za sprawę. Taki, bracie, nawet jak susia, to w trosce o demokrację i dla dobra ojczyzny!

– Yes! Y jeden menczenik mówy do drugy menczenik: ty krymynalista! Laszego ty topsze ne myszly jak ja, tylko inaczy? Ty dla demokracia y pluralis muszy szedzi w Sing-Sing!

Noc przespana we własnych domach i kolejny mglisty ranek nie przyniosły im żadnego dobrego pomysłu, który mógłby przyspieszyć rozwiązanie sprawy. Stanęli w miejscu, mordercy nie znaleźli, nawet o podejrzanego na podstawie poszlak było trudno. Inspektor, który wezwał ich zaraz z rana, nie taił swojej dezaprobaty:

– Panowie, wiecie, rozumiecie, tak nie można! Dzisiaj o dwunastej jest pogrzeb ofiary, właśnie dostałem telefon z prokuratury, że wydano zezwolenie! A wy co? Prokurator ma wypisane postanowienie o tymczasowym aresztowaniu, tylko nazwisko wpisać, a wy co? Naciski mam różne, nawet ksiądz kapelan do mnie dzwonił, że manipuluję śledztwem i osłaniam sprawców ohydneho mordu na bojowniku o jedynie słuszną sprawę, a wy co?

– A może kszonc powi, kto je sprawiec tego morda – z nikłym uśmiechem podsunął O’Mlett.

– Książdz sugeruje, że to siły wsteczne, przeciwne wartościom, i że dla każdego musi być jasne, jakie ugrupowanie maczało w tym palce! – gorąco odpowiedział inspektor, nie zauważywszy widocznie dyskretnej drwiny komisarza.

– I co? Znaczi my muszy aresztuje szyły fsz...fse...

– Wsteczne – podsunął przełożony.

– Yes, fsetećne! Znaczi ja muszy je aresztowacz. Znaczi, gdzie ony som?

– To już wy powinniście wiedzieć, panowie! Przecież od tygodnia prowadzicie śledztwo! To wy je prowadzicie, a nie ja!

O’Mlett umilkł na chwilę i pozwolił wydyszeć się inspektorowi. Wreszcie począł mówić tonem starego belfra, z zatroskaniem i poślizliwością w siwo-błękitnych oczach:

– Prawo żonda: kto wi o osoba, który roby morda, ma powedźecz do polisja abo prokiurator! Ne powi – znaczi ukrywuje psiestępca! Ukrywuje – znaczi sąd i sadzy go do Sing-Sing! Tera my ydżem do kSIONC i on nam powi, kto sprawiec. Ne powi – ja robi alarm do prokiurator, że kszonc wi, a nie gada, znaczi ukrywuje! Yes?

Inspektor zamachał rękami jak pijany wiatrak i zerwał się z za biurka:

– Ależ to są jego osobiste poglądy! Jemu tak się tylko powiedziało, bo sami wiecie, rozumiecie, takie wypowiedzi to odreagowanie za czas miniony... nie trzeba zaraz poważnie! Książdz nie ukrywuje... tfu! Nie osłania! On sugeruje tylko, tak ogólnie, czy wy mnie rozumiecie? To nasza specyfika pojęć, takie zaszłości psychologiczne... no, wiecie, rozumiecie...

– Znaczi kszonc ne wi, a gada! Znaczi – kłamie. A pan inspektor jemu mówił, że on kłamie? Kszonc i kłamie! Jak to tak?

Wysoki przełożony szcerwieniał jeszcze bardziej:

– Co wy mi tu prasówkę z moralności robicie? Przecież ja mu tego nie powiem! No, dobra, skończmy z tym! O dwunastej jest pogrzeb na Wólce, żeby ktoś tam był! Dobra, idźcie już, bo mam pilną robotę!

Charuj, który milczał przez cały czas jak zaklęty i tylko oczy wskazywały, że wewnątrz turla się ze śmiechu, po wyjściu z gabinetu i przejściu kilkunastu metrów korytarza nie wytrzymał i parsknął opluwając sobie koszulę:

– O, w mordę! Aleś mu dołożył! Teraz trzy razy się namyśli, zanim co powie!

O'Mlett popatrzył na sierżanta z powagą arcybiskupa piętnującego kurtyzanę.

– Ja ne rozume! Prawo je prawo, kszonc czy jaky drugi ne może gadacz na inne ludże bez dowoda!

– Człowieku! Tu cały czas jedni drugich pomawiają Bóg wie o co! Żeby wszystko brać dosłownie, to sądy by nie jadły, nie spały tylko skazywały. Wiadomo, że za wszystko złe odpowiada lewica, a wszystko dobre jest zasługą prawicy nawet wówczas, gdy jest akurat odwrotnie. Albo czarne, albo białe. Szara to tu jest tylko strefa gospodarcza i eminenca przy byłym prezydencie!

Pół do dwunastej pojechali na Wólkę Węglową.

Pogrzeb był wspaniały. Francuska trumna ze szlaczkiem i złotymi okuciami, z wiekiem otwieranym w górnej części i wykładziną z takiego adamaszku, że mózg stawał, jak mawiają niektórzy szczególnie nowocześni konstruktorzy rzeczywistości. Długa msza ze śpiewami chóralnymi i solowymi, przy czym głosy, czemu nikt się nie dziwił, daleko odbiegały od operowych. Przy takich Pan Bóg niewątpliwie wyłącza fonię pozostawiając wizję, aby tylko wiedzieć co jest grane. Sześć świec i cztery żałobne wdowy, z których żadna nie była prawdziwa. O'Mlett bez trudu rozpoznał w nich panie z instytucji poległego za sprawę, wśród których prymat dzierżyła pani Beatka. Wszystko to stwarzało oprawę jednoznacznie atrakcyjną dla miejscowych dewotek i nastrój tak podniosły, że sierżant i komisarz uznali za stosow-

ne pozostać w kruchcie, aby nie profanować uroczystości swoim zwyczajnym wyglądem.

Gdy czterech wysztafirowanych we frakowe koszule młodzieńców, z których dwóch było pijanych, włożyło trumnę na meleks, kondukt ruszył w głąb cmentarza. Wózek miał niesprawny akcelerator i pruć tak, że nieutuleni w żalu żałobnicy prawie bieгли. Po trzystu metrach odpadły panie na szpilkach, po pięciuset – wszyscy po czterdziestce, tak że w pobliżu grobu za trumną nieugięcie podążali tylko nieliczni: goniec, dwie siksy z finansowego i kierowca prezesa, który kiedyś trenował biegi długie.

Przemówienie nad grobem wygłosił pan Jacek Maria Burek, w imieniu prezesa, własnym i całej reszty, o której wspomniał tylko na początku i z dostateczną dozą nonszalancji.

– Ciekawe, kto za to płaci? – powiedział Charuj do O'Mletta, gdy stali opodal, zasłonięci okazałym pomnikiem. Pytanie było retoryczne, toteż komisarz mruknął coś w rodzaju „kolera go wi” i z wybałuszonymi oczami chłonał poczynania księdza, który usiłował zmusić obecnych do odśpiewania kilku pobożnych pieśni. Uczestnikom kompletnie to nie szło, osoby niżej postawione w hierarchii służbowej usiłowały coś tam mruzczyć, natomiast pozostali uznali wysiłki duchownego za niebyłe, wobec czego głos oddano mówcy.

– Żegnamy dziś – powiedział pan Jacek – niestrudzonego bojownika o demokrację i pluralizm, którego tak wcześnie i nieoczekiwanie wyrwały z naszego grona zbrodnicze siły reprezentowane przez pogrobowców i kontynuatorów! Kolega dyrektor Kwasignat był nam zawsze wzorem poświęcenia dla dobra publicznego i za te szczytne ideały oddał młode życie!

– Czekawi ja, czy on psiemawia o Kwaszygnat – powiedział nagle O’Mlett w połowie oracji pana Jacka.

– A o kim? Przecież to jego pogrzeb – zdziwił się Charuj.

– Pogżep jego, ale źicioris ne jego.

– Czego chcesz? Gdyby po śmierci każdego przedstawiano jego rzeczywisty życiorys, to nie mielibyśmy żadnych świętych – filozoficznie odparł sierżant – o zmarłych albo dobrze, albo nie!

– De mortui aut nihil, aut bene – stwierdził komisarz.

– Znowu łacina! Skąd znasz? Przecież nie od kolegi z Iranu?

– Żamknyj sze i słuchaj!

– Nie ustaniemy w wysiłkach, aby zdemaskować te wsteczne siły – kontynuował pan Jacek, a słuchacze kiwali się patrząc na czubki własnych butów.

– O! Fsetećne szyły! Ten tysz o fsetecznych! Znaczy jake?

– Wsteczne, znaczy cofające, działające na starych zasadach, a wszeteczne to niemoralne. O które ci chodzi?

– Wiglonda, że o te i te. A jakie to?

– To wszyscy ci, którzy myślą inaczej niż ten bubek i jego kumple. Dokładnie nie wiadomo, o kogo mu chodzi.

– No to jaka u was demokracja?

– Normalna! Polska! Każdy poza mną to łobuz i złodziej! A jeżeli nie jest, to zbiorę dokumenty, namotam lewych świadków i udowodnię że jest! Kapujesz? Grunt to utopić bliźniego w łyżce wody, choćby ci nawet nic z tego nie przyszło. Ot, tak, dla zasady! Polskiego kotła w piekle podobno żaden diabeł nie pilnuje, bo i tak każdego wyłazającego pozostali wciągną z powrotem!

Ceremonia przebiegała dalej w tym samym duchu. Twarze obecnych nie wyrażały nic poza nudą źle skrywaną pod maską teatralnej powagi, a nadęta, złożona z samych frazesów mowa pogrzebowa pana Jacka idealnie pasowała do atmosfery. Gdy mówca skończył wreszcie, Charuj zdziwił się, że nie zabrzmiały żadne oklaski. Dopiero po sekundzie uświadomił sobie, że to jednak pogrzeb.

Po ceremonii chyłkiem, za grobami powrócili do samochodu, który stał zaparkowany przed bramą główną.

– No i co – powiedział Charuj jadąc powoli w kierunku miasta – wiemy dokładnie tyle samo, co i przedtem, czyli nic! Okoliczności wskazują na samobójstwo, ale przeczą temu obrażenia. Dalej nie mamy żadnego dowodu.

– To ćeba jego mać! – stwierdził O’Mlett z mocą.

– Nie wyrażaj się, komisarzu.

– Co newirająj? Mać ćeba tego dowoda!

– Mieć dowód – poprawił sierżant.

– Aha, mecz dowót, ja pamentacz.

– Mieć! Mieć dowód. Mecz to może być piłkarski albo tenisowy.

– Topsze, miecz.

– Nie miecz, a mieć! Miecz, to taki szpikulec do rąbania. Dawni rycerze to mieli.

– Mieli? Aha, to ja wim! – ucieszył się O’Mlett – mieli, znaczy roby z tego monka! Dawni rycesz u was roby monka? Biutiful!

Charuj zaklął szpetnie i machnął ręką.

– Newirająj siem! – skarcił go komisarz.

Gdy skręcili z Wisłostrady w Sanguszki sierżant chrząknął parę razy i rzekł niepewnie:

– Szefie, a może by tak... że tak powiem... niekonwencjonalnie?

– Znaczy co? Złapacz prezes Bowryj i roby mu tortura jak spanisz inkwizycja?

– Nieee. Ja myślałem, że może by tak... do wróżki? – tu Charuj odetchnął parę razy głęboko – nikt nie musi wiedzieć! Rozliczy się ją z paliwa do Gdańska i z powrotem, czy z jakiej innej trasy. Droższa przecież nie będzie! Niech nam tylko powie, czy poza Kwasi-

gnatem i Krzyszczyżelem był tam ktoś trzeci, bo jak na razie, to jest szukanie w ciemnym pokoju czarnego kota, którego tam nie ma! No? Co o tym myślisz?

O'Mlett milczał przez chwilę patrząc na sierżanta spod zmrużonych powiek, ale w jego spojrzeniu Charuj nie wyczytał wyraźnej aprobaty, po chwili więc postanowił głębiej uzasadnić ten pomysł:

– No bo sam pomyśl! Jest trup z raną w szyi, narzędzia nie ma i nawet trudno sobie wyobrazić, jak by ono mogło wyglądać! Nikt tam nie wchodził i stamtąd nie wychodził, tak? No to co? Jak by sam sobie gardło poderznął, to wiedzielibyśmy – czym! A tu ni cholery! Czyli co? Zarzęta go siła nieczysta, co wlażała przez kratkę od klimatyzatora? Wampir go napadł, wygryzł mu gardziel, otrzepał rączki, umył zęby i zniknął? No, sam pomyśl, do kogo mamy iść? Do biskupa? – Charuj zatrzymał się przy krawężniku obok stadionu Polonii i zgasił silnik. O'Mlett gapił się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, wreszcie, po minucie, odezwał się:

– Kolera! Y co roby wróśka? Ona ne powi, kto zagryzał Kwaszygnata. Ona powi hokus-pokus, weźmi dużo penondz i juś. To juś lepi dacz anons do press: „duch Kwaszygnata prosie przychodzić do komenda i pręko mówić, kto go zagryzał, bo polys gupi i nic nie wi!”

Charuj, mimo powagi sytuacji, parsknął śmiechem:

– To tak, jak jeden święty dał ogłoszenie do gazety, że celem uzupełnienia remanentu prosi o zwrot stu trzydziestu czterech rąk, osiemdziesięciu siedmiu nóg i dwustu piętnastu zębów, które rozdano w charakterze relikwii! A w Stanach to policja nie chodzi do wróżek?

– Chodźy.

– No i co?

– Różno. Raz tak, raz tak.

– No widzisz! To co? Spróbujemy?

– A jak w komendzie każdy powi potem, że ja szwir?

– Nikt nie powie! Pójdziemy do niej jako prywatni faceci, że niby rodzina nas przysłała i w ogóle.

Na tym stanęło. Reszta dnia upłynęła im na porządkowaniu dokumentów i starannym schodzeniu z drogi inspektorowi Strzypiurowi, za to następnego dnia rano Charuj zawlókł O'Mletta do toalety i sprawdziwszy dokładnie wszystkie kabiny, szepnął mu do ucha:

– Dzwoniłem, zgodziła się, przyjmie nas o dziesiątej!

Wróżka była dość młoda, ładna i nie wyglądała na wróżkę. W pobliżu nie błąkały się żadne czarne koty, nie było ani jednej sowy ani szklanej kuli, stały za to klubowe fotele i komputer na stoliku. Wróżka kazała sobie dać przedmioty należące do zmarłe-

go i podać dokładną datę urodzenia, a nawet godzinę. Powiedzieli jej to, co wiedzieli, a jako przedmiot należący do ofiary – wręczyli szczękę. Wróżka dotknęła jej i natychmiast cofnęła palce, jak od gorącego żelazka.

– W tym jest olbrzymia energia! – powiedziała i usiadła, biorąc szczękę w obie dłonie.

O’Mlett z Charujem siedzieli jak trusie i odważyli się poruszyć dopiero wtedy, gdy wróżka odłożyła szczękę na stolik.

– Sprawa jest skomplikowana, panowie – powiedziała niskim i matowym, prawie męskim głosem – w momencie śmierci właściciela tego przedmiotu nie było przy nim nikogo żywego, ale ta szczęka odegrała w całej tragedii jakąś bardzo ważną rolę, na co wskazuje zawarty w niej ładunek!

– Ale... – rozpoczął Charuj, lecz młoda kobieta przerwała mu podnosząc dłoń do góry.

– Więcej powiedzieć nie mogę, nie potrafię. Sami z tego wyciągnijcie jakieś wnioski!

– Ile jesteście pani winni? – cichym głosem spytał sierżant.

– Nic. Cieszę się, że mogłam trochę pomóc policji.

– Skąd pani wie...?

Kobieta uśmiechnęła się podając im rękę – przecież jestem wróżką!

Kiedy wyszli i usiedli w samochodzie, sierżant zapytał:

– No i co o tym myślisz?

– Ya myszli, że tak: Kwaszygnat ne umar w ten čas, co był dżabnenty, on umar godzyna abo dwie potem, yes? No to w ten čas, co on umar, obok ne ma żadny żywy czowek, ale godzyna pśed może bycz, okej? To ferst, a sekend: dżews, znaczi śćenki sami z gemba nie wypadują, na nich szlady, znaczi on ich ćimał w rence!

– To znaczy, że ty myślisz, że ktoś go charatnął w szyję i poszedł, Kwasignat żył jeszcze godzinę albo dwie i przez ten czas sam sobie wyjął tę szczękę?

– No a yak inaćci?

– No pomyśl! Gość siedzi w fotelu w swoim gabinecie, raptem ktoś wchodzi, rozrywa mu czymś tętnicę szyjną, a on spokojnie siedzi dalej i do tego gmera sobie w gębie i wyciąga szczękę? A po cholerę! Nawet się zerwał z tego fotela, nigdzie nie poleciał, nie złapał za telefon, nie tamował krwotoku, tylko siedział dalej jak głupi i wyjmował sobie zęby?

– On bycz w śoku!

– Każdy normalny facet łapie się rękami za ranę i jak jest jeszcze przytomny, to szuka pomocy.

– Yes. Gud. A ti myszly, że jak było?

– Właśnie o to chodzi, że nie wiem, jak to było! Ni cholery nic z tego od początku nie rozumiem! Załóżmy: Kwasignat siedzi pijany w bambus i gapi się w telewizor. Wchodzi morderca i wyszarpuje mu pół gardła. Dotąd w porządku i teraz dwie możliwości: jeżeli gość jest przytomny, to nawet w szoku usiłuje się ratować, albo jeżeli jest nieprzytomny, to siedzi jak siedział, ale nie wywleka sobie szczęki!

– A może on wywleka pśed dżabniencie?

– Znaczy, że siedzi ze szczęką w ręku i raptem ktoś go...

– Yes!

– O tym też myślałem, komisarzu. Wyobraźmy sobie, że praworęczny morderca zachodzi Kwasignata od tyłu, przy tym ma cholerne trudności, bo tam ciasno i z tyłu jest biblioteczka, i szarpie czymś ofiarę w szyję. I co robi Kwasignat, choćby był nie wiem jak zapruty? Łapie mordercę za rękę albo za narzędzie! Musi przy tym puścić szczękę, jeżeli założymy, że trzymał ją w prawym ręku, prawda? Szczęka spada pod fotel, to skąd w takim razie krew na zębach?

– Wriószka mowy, że ścienka parso ważny!

– Fakt, ale jako co? Jako plastikowy świadek?

Chwilowo nic nie wymyślili, więc wrócili do komendy, ale ledwie weszli do pokoju, gdy dopadł ich Wygruzalik.

– Panowie, sądówka dzwoniła w sprawie tego Kwasignata!

Charuj runął w kierunku telefonu, potknął się o krzesło, przypakował kolanem w kant biurka i w końcu wylądował twarzą w rywnie na długopisy. O'Mlett usiłował go podtrzymać, ale z tego zamachu strącił z bekhendu paprotkę z półeczki na ścianie, a ona z kolei rąbnęła Charuja w potylicę.

– O kurczę! – zaklął sierżant wytrzepując zza kołnierza paprotkową ziemię – sami się powybijamy przez tego Kwasignata!

Sądówka zameldowała, że wróciły jakieś badania, podobno ważne, i trzeba je odebrać.

– Jedziemy! – zaryczał sierżant i ruszył z powrotem w kierunku drzwi, potykając się po raz drugi o to samo krzesło.

W Zakładzie Medycyny Sądowej doktor Bebeszyński przyjął ich z twarzą wyrażającą niejaki zdziwienie:

– Wiecie, panowie, coś mi tu nie gra – powiedział ostrożnie, wyciągając z szuflady jakiś papier. – Popatrzcie sami, to jest wynik badania laboratoryjnego wnętrza rany, w której wykryto drobiny czegoś, co określono jako elementy roślinne, groch czy fasolę, dodatkowo tłuszcz obcego pochodzenia i sos pomidorowy! Ja, panowie, czuję się w tej sprawie zagubiony!

– A pomyłka wykluczona? – spytał Charuj.

– No, oczywiście może to nie być fasola, tylko na przykład groszek konserwowy.

– Nieee, chodzi mi o to, czy to na pewno wynik badania rany u Kwasignata!

– Nie ulega wątpliwości – poważnie odpowiedział Bebeszyński nieco urażonym tonem.

– Kolera jaśna, psza macz! – z pasją powiedział O’Mlett.

– Widzę, że pan kolega niezłe opanował polski – stwierdził anatomopatolog z uśmiechem – ja też uważam, że tej sytuacji lepiej skomentować nie można!

– Doktorze, czy to znaczy, że ktoś narzędzie mordu najpierw umoczył w zupie fasolowej, a dopiero później użył go do uśmiercenia ofiary?

– Trudno dokładnie to ocenić, ale na coś takiego wygląda!

Cóż było robić? Zabrali ten wynik badania i wrócili do komendy. Tam O’Mlett usiadł, położył przed sobą przywieziony papier i protokół sekcyjny sprzed czterech dni, zatkał uszy dłońmi i zagłębił się w lekturze. Szło mu to nawet dosyć składnie, mimo że niektóre wyrazy powtarzał kilkakrotnie, jako że język mu przy nich nieco kołowaciał:

– Siew skszi... szczy... s...ksziduowo – źiuchfowy, o kiurcze. Powenskony wenzuy psi... psziusi... nicze, psza ich macz! Ale ten

Kwaszygnat bił kompliketed! Charuj, czy ti tys masz wenzui psiu-
śnicze?

– Pewnie mam. Wszyscy mają.

– W Juesej mauo kto ma taki śtraśny źecz! Wydacz to polsky
specjalaty! A menseń dwubźiuś...cowi masz?

– Pewnie, że mam, co się czepiłeś mojej anatomii?

– Biutiful, ya chiba ne mam!

Sierżant parsknął śmiechem, ale nie podtrzymawał dyskusji wi-
dząc, że komisarz znów zagłębił się w lekturze. Chłonał ten pro-
tokół punkt po punkcie, aż doszedł do treści żołądka. Informację
o tym przeczytał dwa razy głośno i uważnie, choć była ona dość
lakoniczna, jak na tak szczegółową sekcję: „około stu gramów nie-
strawionego, czterdziestoprocentowego alkoholu, wymieszanego
z masą pokarmową. Związków toksycznych nie wykryto, łączna
waga...”

– Znaczy, że nikt Kwasignata nie otruł – krótko stwierdził sier-
żant.

– Widoćnie zabójec ne ma psi sobie pašteta z drobiu.

– Ale po co to czytasz, człowieku? Co chcesz wiedzieć?

– Ya muśem wedżeć, skont ta zupa fasolnica?

– Fasolowa!

– Yes, fasoulowa.

– To ty myślisz, że Kwasignat tę zupę jadł? Tego się możemy dowiedzieć w jego biurze. Jest tam, zdaje się, jakiś bufet. Jedziemy?

– Jadłem.

Po pół godzinie sprawa wyjaśniła się z korzyścią dla śledztwa. Pani magister archeologii śródziemnomorskiej, Lidia Małocolepsza-Gżyp, od roku prowadząca w agencji bufet instytucji, bez mrugnienia powieką potwierdziła przypuszczenia O'Mletta:

– W poprzednią niedzielę, dziewiętnastego? A, był ten pan Kwasignat, był! Znowu awanturę mi zrobił i sądem straszył, a zjadł filet z morszczuka z sałatką i fasolkę po bretońsku, ale sałatkę zostawił, bo nie lubi z zieloną papryką. O tę sałatkę mi naubliżał, że podobno za grubo krajana! To ten sam, co go, zdaje się, w gabinecie powiesili!

– A pani bufet pracuje w niedzielę? – spytał zdziwiony Charuj.

– Jak są konsumenci, to czemu nie! Teraz takie czasy, że trzeba robić żeby zarobić!

– Jesteś genialny! – powiedział sierżant do komisarza, gdy znaleźli się na biurowym korytarzu – Kwasignat rzeczywiście wrębał tę fasolkę w sosie pomidorowym, tylko jeszcze nie kojarzę, czemu ona się znalazła w ranie? Przetyk miał cały. Ręką zabrudzić nie mógł, bo przecież rękami tej fasolki nie jadł, bo gorąca i z sosem, więc skąd?

Wyszli z budynku, wsiedli do samochodu i ruszyli, odprowadzani setką ciekawych, zaniepokojonych lub złośliwie zmrużonych oczu. O'Mlett milczał cały czas i przeżuwał coś, ruszając od czasu do czasu wargami jakby odmawiał pacierz, nagle podskoczył na siedzeniu jak oparzony i wrzasnął na cały głos:

– Ja wim!

– Coo? – równie gwałtownie ryknął Charuj i zahamował skręcając do krawężnika.

– Ścienka! Ta fasoulowa w ranie je od ścienka! Rozumeć?

– Nniee – niepewnie powiedział nieprawdopodobnie zdziwiony sierżant.

– Ty myszly! Prenko myszly ty! – ryknął komisarz dziabiąc wyciągniętym palcem w pierś Charuja – ne możliwa żaden drugi możliwoszcz, tam ne psichodży żadna killer żeby mordowacz, sam Kwaszygnat psajkikl despret... znaczy... no szfyr ot psierażenie!

– Ześwirował po wyborach i co? Rozorał sobie gardziel? – powiedziawszy to sierżant odetchnął głęboko trzy razy, pokręcił głowę jak po ciosie i zapalił silnik.

Popołudniowa odprawa u inspektora Strzypiura przebiegała w podniosłym nastroju. Szczęśliwe rozwiązanie sprawy morderstwa dyrektora Kwasignata, która od tygodnia spędzała inspekto-

rowi sen z powiek, wyzwoliło pokłady luzu i wzajemnej życzliwości, drzemiące dotychczas pod skorupą codziennych stresów.

– No taaak – powiedział inspektor podsumowując sprawę – wiecie, rozumiecie panowie, część opinii publicznej być może nie uwierzy w fakt, że denat pod wpływem nagłego załamania psychicznego, że tak powiem, zagryzł się własną szczęką, ale annały kryminalistyki notują wiele nawet bardziej szokujących rozwiązań. Dziś, gdy stoimy w przededniu niewiadomej i u progu wielkich zmian, mogą nastąpić, być może, i inne pozornie niewytłumaczalne wydarzenia! Szczególne podziękowania należą się panu komisarzowi O’Mlettowi, który potrafił w krótkim czasie rozwiązać tak trudną sprawę. Pragnę również złożyć serdeczne gratulacje panu sierżantowi Charujowi z okazji awansu na stopień aspiranta!

– No i widzisz – powiedział Charuj do O’Mletta, gdy wyszli już z zagraconego gabinetu szefa – ty przeze mnie dowiedziałeś się trochę nowego o prawdziwej demokracji, a ja przez ciebie awansowałem! A czy ten cały Kwasignat musiał się zaraz zagryzać? Nie mógł to zapić się normalnie na sztywno, jak uczciwy Polak. Patrz jak odrobina władzy zmienia ludzi!

– No, idźmy, aszpirant – powiedział O’Mlett.

– Dokąd?

– Normalnie, pszamacz, kolera jaśna, na wódkę!.